Nr. 21 (1274). Warszawa, 3 Czerwca (21 Maja) 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ:

POLITYKA

Przyszłość pancernika.

Wrażenie klęski Tsu-szymskiej na całym świecie musi być ogromne. Ci nawet, którzy w powodzenie adm. Rożestwienskiego nie wierzyli, ci, którym jakaś mistyczna wiara w potęgę i ostateczne zwycięstwo Japończyków zastępuje logiczną metodę myślenia i przewidywania—w polityce poeci, a wobec antropologicznego procesu dziejów entuzyaści—stają po nowym pogromie zdumieni — nie jego duchową wyrazistością, nie tą prawdą, która się z niego wypromienia, ale materyalnemi jego rozmiarami zdumieni. Jak sobie Naród Rosyjski poradzi z tem nowem nieszczęściem, z nową rozbitą flotą i nową rozbitą nadzieją—jego jest rzeczą: Europa kierując się tylko zdrowym sądem, wymawia wyraz, który konieczność sama, ten najwyższy bóg świata, wycisnęła odrazu na wypadku jako jedynie prawowite, niezatarte jego piętno przyczynowe: pokój. Lecz to środowisko, z którego wyszła wojna, może i Europie i zdrowemu rozsądkowi ludzkiemu i narodowi Rosyjskiemu zgotować zawód. Dziejów nie wytwarza rozum, dzieje wydaje z siebie namiętność, która nawet wtedy, kiedy na pozór rozumowi jest posłuszną, właściwie tylko ulega pod brzemieniem instynktu zachowawczego i trwogi przezeń w duszę sączonej, albo wyczerpana, wypaliwszy się zupełnie, wygasa.

Jakby na chwilę obecną, kiedy klęska poniesiona przez flotę nasuwa przed umysły ludzkie teoretyczną sprawę floty wogóle, *Temps* z przeszłego tygodnia zamieścił dwa niezwykłego znaczenia listy ze spostrzeżeniami o dzisiejszej walce na morzu, o dzisiejszych jej a dla rozsądku koniecznych wymaganiach. Pisane z myślą o Francyi, spostrzeżenia te i rady przydadzą się i nieFrancuzom, a przydać by się powinny i tym, którzy wprawdzie jednego choćby czółna wojennego nie mając, nie mają też nic do poprawiania i ulepszania, mogą jednakże poprawić i uzupełnić swe wyobrażenia o pływających twierdzach, budowanych przez innych. Jeden list napisał p. Ferrand, inżynier naczelny budowy okrętów wojennych we Francyi, drugi—p. Lockroy, były, wielokrotny już minister marynarki. Obaj kładą główny nacisk na pancerniki, obaj pragną zwiększyć ich ogrom, a spotęgować szybkość, obaj chcą je jak najbardziej uzdolnić do długich podróży i wystarczania samym sobie. Zwijając wywody ich w jeden kłębek, otrzymujemy następujące uwagi i wskazania.

Wojna obecna przekonała, że królem na szachownicy walk morskich nie przestał być i jest pancernik. On tylko może sobie obmyśleć, wynaleźć i utrzymać taką widownię walki, jaką za potrzebną i najdogodniejszą dla siebie uważa; on tylko może walkę poprowadzić i w walce wytrwać. Ale do tego musi być prawdziwie wielkim: 17,000 ton, 16 dział 240 mm., 8,000 ton węgla, 21 mil morskich na godzinę, koszt zbudowania—42 miliony franków, więcej niż cały budżet nasz przed stu laty. Torpedowce nie usprawiedliwiły oczekiwań i nadziei przedwojennych, wszelako wyrzekać się ich nie wolno; podobnież użyteczną stać się kiedyś może udoskonalona prawdziwie łódź podwodna. Krążowniki, zbliżające się do pancerników typem, zlać się z nimi powinny i rozmiarami: wojna obecna przekonać jakoby miała o niewytrzymałości bojowej tego okrętu; przyszłość ma tylko pancernik. Nadzwyczaj ważne, nierozdzielne z flotą są dobre doki i pracownie szybko przywracające nadwerężoną sprawność. Działo okrętowe, jak i sam okręt ma być jaknajwiększem. Miała niegdyś Francya działo 420 mm., wyrzekła się go dla mniejszego, a i temu jeszcze się sprzeniewierza. Ostatecznie, jeśli się chce utrzymać na morzu, winna płodzić wskazane wyżej olbrzymy po 9 na każde czterolecie, aby w r. 1917 dorównać Niemcom, jakiemi być mają w tym właśnie roku.

Dorównać! To zrównywanie się wzajemne jest właśnie robotą ustawiczną, na chwilę jedną nieprzerywaną, całego świata; a główne mocarstwa i w wiry ich wciągane narody dokonywają tej roboty pod innem jeszcze, tamto uzupełniającem hasłem: przewyższyć! W ciągłej trwodze i ciągłej chciwości te wyścigi do mety jak największej materyalnej potęgi, odbywające się na torze z piersi i głów ludu, tamują i opóźniają rozwój potęgi duchowej, kulturę czynią kopciuszkiem polityki, palącym dziś zagadnieniom społecznym nakazują ulatniać się w senne marzenia o dalekiej przyszłości. Tak jest i tak jeszcze długo będzie, bo ta trwoga i ta chciwość, które wywołują coraz większe wysiłki i coraz potworniejsze skutki, długo jeszcze nie przestaną być siłami rozpędowymi ludzkości, która, chcąc żyć w narodach, musi też żyć i w państwach. Bez państw narody nie zdołałyby nigdy utrzymać się w warunkach tego duchowego, wewnętrznego rozwoju będącego prawem postępu, prawem i samą rzeczywistością życia godnego człowieczeństwa. Państwo uszlachetnione, oparte na pojęciu, poczuciu i poszanowaniu indywidualności człowieczej, a nie na wyobrażeniu i potędze tłumu — będzie umiało pogodzić konieczną

swą siłę materyalną ze swem powołaniem kulturalnem. Złem nie jest państwo, jest złe państwo. *St. Krzemiński.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Japończycy rozwiązali zagadkę, którą im postawił był zjawieniem się swoim admirał Rożestwienskij, prędzej i pomyślniej dla siebie, niż sami spodziewać się mogli. Wygrali bitwę, niezawodnie jedną z największych od XVIII stulecia—nietylko ilością okrętów, ton i dział, ale i ogromem dokonanych w boju zniszczeń—bitwę wielką. Wydarzyła się ona w sobotę d. 27 z. m. na widowni w tym czasie całkiem nieprzewidywanej, u południowo-zachodnich wrót m. Japońskiego około wyspy Tsuszyma, rozdzielającej wody między Koreą południową a zachodnim brzegiem Nipponu na dwie cieśniny: północną, Broughtona, i południową, Krusensterna. Nie potrzebowali zapuszczać się aż w zatoki zachodnie południowego morza Chińskiego, aby wychylającego się z pod Hai-nanu admirała rosyjskiego przytrzymać jeszcze przed Formozą; nie potrzebowali też dokonywać zaskoczenia w węziźnie między Formozą a Pescadorami lub temi wyspami a lądem Chińskim. U Formozy wcale ich nie było; stali spokojnie na ojczystych wodach, co chwila wyglądając nieprzyjaciela. I doczekali się go. Rożestwienskij nie spotkawszy ich na południu, sam do nich popłynął na północ, sam im podprowadził ogromną swą armadę pod ciosy torpedowców i pociski dział.

Niepodobna jeszcze dotychczas ukształtować pojęcia, odmalować obrazu odtwarzającego w głównych choćby zarysach i tonach, rzeczywistość tej rozmiarami, przygodami i całą zjawiskową potęgą swoją wspaniałej rozprawy. Podobno do jakiejś godziny drugiej popołudniu mgła zakrywała zupełnie flotę rosyjską, złożoną z eskadr samego Rożestwienskiego i Nebogatowa, przed Japończykami, ale zakrywała też i flotę japońską przed Rosyanami. Dzięki mgle, jedna flota mogła płynąć naprzód, ale dzięki też mgle druga mogła wytrwać w zasadzce, w szyku bojowym, w topograficznem rozczłonkowaniu swych jednostek, od dwu dni już na podstawie wskazówek telegrafu Marconiego przygotowywanem. Gdy natura podniosła kurtynę, ujrzeli się Rosyanie odrazu o kilka kilometrów wobec oddziału samego Toga, który z korejskiego Mozamp-ho wysunął się był w cieśninę Broughtona, i w okamgnieniu kilkadziesiąt torpedowców szybowało już ku olbrzymom rosyjskim, które podobno szły bez straży przedniej, bez tego przedpiersia taktycznego, jakie dziś dawać powinien pancernikowi torpedowiec, łódź podwodna, rozbijacz—kontratorpedowiec. Eskadry rosyjskie opływały Tsuszymę, jedna od północy, druga od południa; przeciwko pierwszej miał Togo za sobą dalej na wschód Kamimurę, przeciwko drugiej stał u brzegów Japonii Uryu. Jednoczesność i gwałtowność ataku zaskoczyła obie jak piorun.

Bitwa trwała jakoby do wieczora. Według telegramu petersburskiego z 30 maja, oceniającego straty jak najłagodniej, poszły na dno 3 pancerniki, 6 krążowników, 2 przewozowce, 13 torpedowców, nadto 2 pancerniki do obrony wybrzeży i 2 mniejsze statki wpadły żywcem w moc zwycięzcy. Jest to *minimum* zniszczeń i strat doznanych, liczby te bowiem w dalszych sprawozdaniach mogą tylko urosnąć. Ostatecznym, taktycznym wynikiem bitwy było rozproszenie: część najznaczniejsza podobno pod samym dowódzcą głównym schronić się miała do Władywostoku, inną odpędzono na północo-wschód, ku Hokkaido (Jeso); były też odpryski i w stronę południowo-zachodnią. Współcześnie z bitwą morską, zaczęli Japończycy działać większą masą na lądzie pod Czantu-fu.

W Europie ces. Wilhelm żeni syna swego najstarszego, przyszłego cesarza niemieckiego, z ks. Cecylią meklenburską d. 6 b. m. Przyjął osobiście na dworcu kolejowym d. 29 z. m. ks. Arysugawę, krewnego mikada, przybyłego umyślnie na uroczystość—z pełnomocnictwem do pokoju. Wojna cesarza z ligą floty niemieckiej, czyli związkiem *exaltados* niemieckich dla potęgi morskiej jak największej, trwała tylko chwilę, a skończyła się złotym pokojem. Liga staje się półurzędową: rząd może się jej wypierać, ale będzie się nią posługiwał, dla nastrajania narodu i straszenia Anglików, Francuzów, Rosyan, zwłaszcza teraz, gdy flota rosyjska nie istnieje. Liga, odpowiednio do danej potrzeby nadymana, będzie organem samego rządu.

We Francyi niezgody między socyalistami. Odłam najczerwieńszy Hervé'go nie chce słyszeć o tej ojczyźnie, co to dla ludu okazała się macochą, co gorzej—megierą, i nie widzi zgoła żadnej różnicy między panowaniem niemieckiem a francuzkiem — nad Francuzami. Jaurès, nie przystając wyraźnie do Hervé'go, ostrzega rząd, aby o żadnych awanturach nie marzył, bo spotka się z oporem proletaryatu. Vaillant zajął stanowisko jawnie przeciwne. Niemcy - Prusacy notują sobie zapewne te gniewy, wstręty, wyznania wiary politycznej i kiedyś wybiją Francuzom na skórze nieomylne prawdy Hervégo.

Król szwedzki Oskar wrócił do kraju, objął napowrót rządy i rozpoczął je d. 26 z. m. od odrzucenia uchwały storthingu względem konsulatów norwedzkich.

W Serbii przesilenie; na czele nowego gabinetu radykalny Stojałowicz.

Na Węgrzech Fajervary, były minister honvedów, uproszony przez cesarza austryackiego nie zdołał znaleźć ludzi na wspólników rządu nieparlamentarnego, a nawet niekonstytucyjnego, i uchylił się od dalszych prób. Teraz tylko prawo wojenne z jednej strony, albo rewolucya z drugiej.

ŻYCIE SPOŁECZNE

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Pro domo sua... — Bura „Ech Płockich“ i moja obrona.—Prasa prowincyonalna. – Jej słabość a ożywienie w społeczeństwie dzisiaj. — Konieczność żywszej akcyi. — Trochę obrazków.

Za poprzednie „rachunki“, dostałem surową burę od „Ech Płockich“. Pismo to wręcz mnie zapytuje czemu uogólniam określenie pism prowincyonalnych, jako „nikłe rachityczne pisemka“, czemu opowiadam, że one nie otwierają swych łam ludziom dobrej woli; w końcu dostaje mi się wymyślanie co się zowie! Panowie z Warszawy, wy, którzy uciekacie z prowincyi, popracowawszy w organie miejscowym pół roku, czy naprawdę możecie z ręką na sercu powiedzieć, że wszystkie w czambuł wzięte pisma prowincyonalne są nikłe, rachityczne? My wytrawni pracownicy na niwie prowincyonalnej, powiemy wam, że wy tych pism nie czytacie uważnie i nie wnikacie w ich treść!

Trudno, bury wysłuchałem z pokorą, powiem jednak, że zrobiony mi zarzut muszę zwrócić „Echom“: O „Echa Płockie i Włocławskie!“ wy nie czytacie uważnie pism warszawskich i nie wnikacie w ich treść.

---

4)

Oskar Wilde.

Ballada więzienia
W READING.

(Dokończenie).

Palące wapno pożera ciało i jego kości — chrupiące kości nocą a miękie ciało w dzień. Zjada kolejno to mięso, to kość, lecz serce kąsa bezustannie.

Przez trzy długie lata nie będą tam siać, ani sadzić; przez trzy długie lata przeklęte miejsce pozostanie bezpłodnem, nagiem i spoglądać będzie w zdumione niebiosa spojrzeniem bez wyrzutu.

Oni myślą, że serce zbrodniarza znieprawiłoby każde ziarno zasiane przez nich. Oni się mylą. Boża ziemia jest dobrotliwszą, niż ludzie sądzą. Czerwona róża zakwitłaby tem czerwieńszą tylko, a biała—bielszą.

Z jego ust wyrosłaby róża czerwona a z jego serca biała! Któż bowiem może wiedzieć, jakiemi drogami przeprowadza Chrystus swoją wolę,[1] jeśli suchy kij pielgrzyma mógł zakwitnąć kwieciem w obliczu wielkiego Papieża.

* * *

Lecz w powietrzu więziennem ani biała, ani czerwona róża kwieciem się nie pokryje; skorupę, krzemień i żwir dają nam tu tylko; albowiem kwiaty łagodzą niekiedy rozpacz zwykłego człowieka.

Nigdy więc szkarłatny płatek róży czerwonej, ani białej nie padnie na ten wzgórek błota i piasku, wzniesiony pod okropnym murem więziennym, ażeby powiedzieć ludziom, depczącym asfalt podwórza, że Syn Boży umarł za wszystkich.

A jednak, choć straszny mur więzienia obejmuje go dokoła, choć duch, spętany łańcuchami, nie może przechadzać się po nocy, choć duch złożony w tak bezbożnej ziemi płakać tylko może.

Nieszczęsny ten człek znalazł ukojenie, znalazł lub osiągnie je wkrótce; nie już o szał przyprawić go nie może, ani strach nie nawiedza go w dzień biały, gdyż w ziemi, gdzie spoczywa, nie świeci ani słońce, ani księżyc.

* * *

Powiesili go, jak się psa wiesza, nie uderzywszy nawet w dzwon, którego dźwięk mógłby wnieść uspokojenie do jego zmęczonej duszy; pospiesznie unieśli go i ukryli w jamie.

Zdarli z niego odzienie płócienne i rzucili na pastwę much; szydząc z jego sinego, obrzękłego gardła, z martwych i wytrzeszczonych oczu, z głośnym śmiechem sypali całun, w którym skazaniec leży spowity.

Inaczej bowiem nie opuścilibyście dwu małych, a jednak dość znaczących słówek: *przeważnie* i *nie z własnej winy*, o które mi najbardziej chodziło, wracając zaś do boleśnie mi wytkniętego współpracownictwa w organach prowincyonalnych, to pracowałem w nich nieco dłużej, niż pół roku, do Warszawy nie uciekłem, a przedewszystkiem prowadząc od lat już trzech z górą „Rachunki społeczne", poświęcone życiu prowincyonalnemu, mogłem dać się poznać swoim kolegom z prowincyi o tyle, że powinienem być wolny od zarzutów nieżyczliwości.

Sprawa ta jednak zniewala mnie do poświęcenia słów kilku naszej prasie prowincyonalnej.

Można ją podzielić na dwie części: dzienniki i pisma wychodzące rzadziej. Z dzienników w znacznej części rolę swą pełnią zadawalająco pisma łódzkie oraz Gazeta Kaliska. Surowo zaś należy potępić sposób prowadzenia *Gazety Lubelskiej*. Dziennik ten, jedyny na całym prawym brzegu Wisły, ma przed sobą olbrzymie pole działania i nadzwyczaj piękną przyszłość. Tymczasem znajdujemy w nim wszystko prócz obrazu życia okolic, których ten organ jest rzecznikiem.

Inne pisma prowincyonalne są właśnie tymi specyalnie prowincyonalnymi organami. *Echa*—twierdzą słusznie, że należy je rozróżnić między sobą, w każdym jednak razie łączy je jedna wspólna cecha: zależność sądu od sił zewnętrznych, ta zależność zbyt często wytwarza pismo rachityczne. Same *Echa* dobrze chyba pamiętają te czasy, gdy musiały wytrzymywać bezwzględny atak kleru, który z zapałem swych praojców, faryzeuszów, postanowił zgnieść niezależność ich rządu. A przecież to tylko jeden epizod z życia jednego tylko pisma prowincyonalnego. Ta zależność powoli, lecz nieubłaganie, wytwarza typ prowincyonalnego publicysty-redaktora, pełnego bojaźni, ogłędnego, słodkawo-ckliwego i wprost niezdolnego objąć szerszych horyzontów życia. *Gazeta Radomska*, energiczna i żywotna przed laty kilkunastu przeszła w ręce zdolne jedynie utrzymać ją na stopniu wegetacyi. Wegetuje też dziś *Tydzień*, kiedyś pełen życia, śmiałych myśli, pięknych utworów, a nadewszystko świeżych uczuć. Ot, zjadło go życie, ta drobiazgowość, ta potrzeba liczenia się z każdym z osobna, ze wszystkimi wogóle i z niektórymi przedewszystkiem. *Gazeta Kielecka* obecnie niemożliwa jest do czytania, pusta lub też wypełniona przedrukami, przerywanymi korespondencyami, w których jakiś domorosły socyolog charakteryzuje strajki rolne w ten sposób: „Lud, podburzany przez agitatorów napada i rabuje folwarki—przez ciemnotę".

I tak bez końca, a przecież czasy mamy ciekawe, pełne najróżnorodniejszych objawów, myśli, sądów, projektów. Ożywienie zapanowało wszędzie. Gdzież śladów i jego szukać, jeżeli nie w pismach prowincyonalnych? A tam co mamy? Wyłączywszy *Echa*, zawierające bardzo dużo wiadomości ze stron swoich i *Kuryer Sosnowiecki*, gdzie szeroko i przez kompetentne w swej dziedzinie artykuły Jacka z Kuźnicy, Inocentego Rafała, „Robociarza z Zagłębia": poruszaną mamy starannie bolączkę tamtej okolicy — sprawę robotniczą ze strony można powiedzieć wewnętrznej. Jeżeli odrzucimy te dwa pisma oraz dzienniki, w pozostałych nie mamy nic literalnie lub też bardzo mało. Ktoś, coby chciał na zasadzie tych pism wytworzyć sobie obraz życia na prowincyi, musiałby nabrać przekonania, że tam wszystko śpi, nikt niczem się nie interesuje, i niema literalnie żadnych potrzeb. A przecież tak nie jest. Weźmy kilka bieżących przykładów.

W poprzednich rachunkach mówiłem o konieczności zbierania wszelkich danych wobec zbliżającego się samorządu. Gromadźmy fakty, spisujmy cyfry, próbujmy charakteryzować objawy, a będziemy mieli bardzo wiele materyału.

W Makowie, mieście powiatowem o siedmiotysięcznej ludności, niema najmniejszego szpitaliku. Tak że, jak donoszą *Echa Płockie*, kiedy w kłótni jednemu z mieszkańców rozpłatano brzuch nożem, biedaka w okropnych męczarniach trzeba było wieźć do Pułtuska, dokąd oczywiście przybył po to tylko, żeby umrzeć.

W Radzanowie, jak donosi *Gazeta Sądowa*, muszą panować ciekawe pojęcia prawne. Miejscowi mianowicie strażnicy przez staroświeckie obębnienie zakazali obywatelom wychodzenia na miasto po 10-ej wieczorem. Winni przekroczenia zakazu zostają aresztowani. Przedmieścia Łodzi — Bałuty, Zubardź i Radogoszcz, które już w w tym roku mają otrzymać oświetlenie elektryczne, jak donoszą pisma łódzkie, nie polegając na policyi miejscowej utworzyły straż obywatelską, uzbrojoną w rewolwery. Straż owa pełni służbę wywiadowczą, odbywa patrole i podobno już wywołała potrzebę zorganizowania kontrstraży.

W komiczno-tragicznem położeniu znaleźli się obywatele miasta Tuszyna pod Łodzią. Rok temu przeszło uchwalono budowę studni artezyjskiej, lecz ponieważ ten wydatek nie został dotąd zatwierdzony w Petersburgu, więc mieszkańcy muszą czerpać wodę z cuchnących zbiorników.

W Żurominie na 1766 jednostek ludności katolickiej wypada 574 pokoje, co po odliczeniu większych mieszkań inteligencyi — wynosi: jedna izba na trzy osoby, taż sama liczba ludności posiada 1150 łóżek, a więc 1224 osoby sypia po dwie w jednem, a 538 cieszy się, jak powiadają *Echa Płockie* łóżkiem osobnem. W tymże miasteczku, na jednego właściciela przypada przeciętnie $5^3/_4$ morga ziemi, 67% zaś mieszkańców są to analfabeci.

W Wyszogrodzie brak jakiejkolwiek księgarni. Według *Ech* handel księgarski polega tu na tem, że ksiądz handluje książeczkami „ze stacyami" organista „z pasyą". M. Suhar razem z pieprzem i katechizmówkami ma zawsze na zbycie bobkowe liście, historye święte i inne artykuły kolonialne; każdy prawie sklep handluje kalendarzami, a co pewien czas zjawia się kupiec z księgarnią w worku na plecach. Ludność wydaje rocznie 50 tysięcy na trunki, lecz za to wszelkie podania o księgarnie zostają systematycznie odrzucane.

We wsi Lelowie w kieleckiem włościanie opierając się na Najwyższych Ukazach, postanowili wnieść do Komitetu Ministrów podania w sprawie różnych potrzeb miejscowych. Zaledwie jednak zaczęto podpisywać petycyę, strażnicy ziemscy z *własnej woli* rozwinęli „śledztwo", odebrali tekst petycyi wraz z podpisami i zagrozili „nieprzyjemnościami" gminiakom.

W Sosnowcu „trzeciem mieście królestwa" szpital miejski przedstawia się w postaci baraku, w którym trzymają jednę waryatkę. Od czasu zaś powołania lekarza szpitalnego na wojnę, „szpital" ów opuszczony został zupełnie.

A oto obrazek z sądów na prowincyi:

W Sosnowcu toczy się sprawa. Kamienicznik skarży lokatora. Sędzia czyta protokół, powódka szeroko opowiada swoje dane i pretensye, adwokat pozwanego broni ze strony formalnej—według kodeksu Napoleona kobieta w procesach cywilnych musi mieć upoważnienie męża — gdzież ono? niema — więc po co trudzić sąd daremnie? Racya.—Litera prawa jak najwyraźniej wskazana. Duch prawu nie przeczy. Powództwo zostaje oddalone. Po przeczytaniu wyroku, tłomaczą go powódce, nieznającej języka urzędowego. Powódka, dotąd słuchająca cierpliwie, nagle wybucha: skąd ja mam mieć upoważnienie od męża, kiedy mąż już dawno umarł i in-

---

Kapłan nie zgiął kolana nad tą zbezczeszczoną mogiłą i nie postawi na niej krzyża świętego, który Chrystus dał dla grzeszników, bo ten człowiek był z liczby tych, których Chrystus przyszedł zbawić.

Jednak to wszystko dobrze: on tylko przekroczył granice zakreślone życiu: przez obcych za niego wylane łzy wypełnią dawno strzaskaną urnę litości, bo płakać po nim będą wyrzutki ludzkie a wyrzutki zawsze płaczą.

V.

Ja nie wiem, czy prawa mają słuszność i nie wiem, czy prawa nie mają słuszności; my, zamknięci w więzieniu, wiemy to tylko że mury jego są mocne, i że dzień każdy jest jako rok, którego dni są długie.

Ale to ja wiem, że każde prawo, które ludzie wydali dla człowieka, od chwili kiedy ten człowiek targnął się na życie swego brata, od początku smutnego świata, że każde prawo najszkodliwszem z sit odrzuca zdrowe ziarno a zachowuje plewę.

I to wiem także—a rozumnie byłoby gdyby wszyscy mogli też wiedzieć to samo—że każde więzienie, zbudowane przez ludzi, wzniesione jest z cegieł pohańbienia i zamknięte kratami, aby ukryć przed wzrokiem Chrystusa, jak ludzie torturują swych braci.

Kratami oszpecają wdzięczny księżyc i zaciemniają dobre słońce: i dobrze czynią, kryjąc swe piekło, bo dzieją się w niem rzeczy, których ani Syn Boży, ani syn Człowieczy nigdy oglądać nie powinien.

* * *

Najbezecniejsze czyny, jak zielsko trujące, bujnie krzewią się w atmosferze więziennej; a zaś umiera i więdnie tu wszystko, co jest dobrego w człowieku: blade udręczenie czuwa u wrót ciężkich, a rozpacz wnętrza strzeże.

Gdyż głodem tu morzą małą, wystraszoną dziecinę, że dniem i nocą zalewa się łzami, słabych biczują, głupich chłoszczą, starców posiwiałych wyszydzają; więc niejednemu rozum się obłąka, a każdy staje się gorszym, lecz nikomu niewolno słowa powiedzieć.

Każda cela, zamieszkiwana przez nas, jest kloaką zapowietrzoną, ciemną; cuchnące tchnienie żywej śmierci dobywa się z każdego zakratowanego okienka, gdzie wszystko, prócz chuci, maszyna ludzkości w proch obraca.

Słonawa woda, którą pijemy, spływa z mułem przykrej woni, gorzki chleb, odważany nam na szali, zawiera pełno wapna i kredy, a Sen nie chce znać spoczynku, lecz przechadza się ze wzrokiem obłąkanym — błagając Czas.

* * *

Choć jednak głód wychudzony i pragnienie posiniałe walczą ze sobą, niby żmije, mało dbamy o pożywienie więzienne, gdyż to mrozi i zabija, że każdy kamień, który podniesiem za dnia, w nocy staje się naszem sercem.

* * *

Z północą w sercu, a szarym zmrokiem w celi obracaliśmy korbę, kręcili sznur,

teresy prowadzę samodzielnie? Zdziwienie i konsternacya w sądzie.

Ulice zaś pryncypalne tego miasta tak opisuje *Kuryer Sosnowiecki*: ulice, Modrzejowska, Fabryczna i Policyjna, stały się niemożliwe do przebycia, bo na jednych wyboje wprost wytrząsają wnętrzności, a na drugich błoto do dorożki się nalewa. Stary Sosnowiec, ulica do Radochy, Kuźnica i Ostra Górka są czemś nieopisanem, w rodzaju morza błota z większemi lub mniejszemi przepaściami, w których konie nogi łamią, a żaden powóz, dorożka lub nawet wóz zwyczajny nie przejedzie bez pogruchotania kół.

Zdaje się dość charakterystyczna wiązanka faktów i objawów ze wszystkich okolic naszego kraju. Widzimy tu dane o stanie naszych miast i miasteczek, o bezpieczeństwie publicznem, o stosunku władz do mieszkańców, o stanie oświaty ludowej i t. d. Wszędzie morze potrzeb, wszędzie braki, niedobory lub też pustka najzupełniejsza, i wszędzie potrzeba rady, rozgłosu, rozpraw i czynu, czynu przedewszystkiem. A wszystko słabo, ledwie czasami odbija się w prasie prowincyonalnej. Ale za to mamy całe szeregi faktów, bardzo ujemnie świadczących o pojmowaniu obowiązków społecznych przez inteligencyę prowincyonalną, tych siłą rzeczy wyrazicieli opinii. Pisma łódzkie np. podają zdarzenie piętnujące lekarzy łódzkich. Miejscowe tow. lekarskie podjęło ankietę w sprawie hygieny fabrycznej. Na rozesłany kwestyonaryusz do wszystkich lekarzy fabrycznych... dwie tylko odpowiedzi łódzkie nadeszły. W Zagłębiu Dąbrowskiem *Kuryer* miejscowy zaznacza zbytnią już nieśmiałość miejscowej inteligencyi zawodowej. Wszędzie w fabrykach i biurach, pomimo że 90% pracujących stanowią Polacy, wiszą napisy, reguły i odezwy po niemiecku. Czyż od takiego rodzaju ludzi, można spodziewać się głosów, z którymi ktokolwiek będzie się liczył?

A czas, czas wielki by i prowincya się ruszyła, głośno i jawnie na łamach pism miejscowych omawiała swe potrzeby, stawiała żądania. Dziś wszyscy jesteśmy, jak w lesie. Nie wiemy co się wkoło nas dzieje, rozmawiamy i myślimy komunałami lub niczem konkretnem niepopartymi frazesami. W razie nastąpienia jakiejś zmiany, gdy nas zapytają, co uważamy za najpilniejsze, niecierpiące zwłoki, wówczas może dopiero zabierzemy się do omawiania naszych spraw bez względu na to, że wkoło tysiące i miliony ich będą gwałtownie domagać się jak najenergiczniejszego załatwienia.

J. Dąbrowski.

Pod berłem pruskiem.

„Straż".—Ewolucya sokolstwa.—Towarzystwo przyjaciół nauk.—O trzy mandaty poselskie.—Kłopoty „Komisyi kolonizacyjnej". — Z Mazowsza pruskiego. — Trwoga hakatystów.

Niedawno powstała nowa organizacya polska, która już niemało krwi napsuła hakatystycznej prasie niemieckiej. Jest to „Straż" ku ochronie spraw „ekonomicznych i społecznych", założona z inicyatywy p. Kościelskiego, który, zbankrutowawszy jako polityk, obecnie pragnie działać na innem polu, ażeby zatrzeć niemiłe i dla niego same wspomnienia niefortunnej akcyi ugodowej. „Straż" zakreśliła sobie cele, dotychczas pomijane przez inne organizacye narodowe. Chodzi jej mianowicie przedewszystkiem o zbieranie i zużytkowanie materyału do poznania stosunków ekonomiczno-społecznych kraju, o pomoc materyalną i duchową dla członków i o obronę ich praw obywatelskich. Gromadzenie materyałów o stosunkach społecznych i ekonomicznych dzielnic polskich Prus nie ma posiadać charakteru teoretyczno naukowego. Chodzi tu o sprawę natury czysto praktycznej.

W walce konkurencyjnej żywiołu polskiego z niemieckim wielką rolę odgrywa trafne i doraźne obsadzanie placówek niezajętych na prowincyi. Trzeba, aby miasto, które nie posiada polskiego lekarza lub adwokata, mając jednocześnie liczną klientelę polską, otrzymało Polaka na to stanowisko—i to w chwili najodpowiedniejszej, kiedy np. miejscowy adwokat lub lekarz umiera; aby młody przemysłowiec polski, chcący założyć interes, wczas się dowiedział, gdzie znajduje się najodpowiedniejszy punkt do takiej próby; aby Polacy, czy to rozporządzający jakimś kapitałem, czy też posiadające jakiś fach w ręku, mogli te zasoby zużytkować jak najkorzystniej i i dla siebie i dla polskości. Dotychczas rolę takiego biura informacyjnego odgrywały w zaborze pruskim pisma, zamieszczające wiadomości o wakujących stanowiskach, ale to nie wystarczało, gdyż tylko bardzo nieznaczna część tych informacyj dochodziła do wiadomości interesowanych, a następnie redakcye, polegając na doniesieniach swych czytelników nie miały nigdy pewności, czy dane stanowisko jest istotnie takiem, za jakie je podawano. Otóż „Straż", organizując specyalne biuro informacyjne, jest w możności usunięcia wszystkich tych braków. Każdy, kto będzie się chciał gdzieś osiedlić, czy to jako przedstawiciel profesyi wyzwolonych, czy jako rzemieślnik lub kupiec, będzie mógł zasięgnąć wyczerpujących informacyj w biurze „Straży".

Co do zorganizowania pomocy przy obronie praw obywatelskich Polaków, to brak takiej instytucyi, któraby się tem specyalnie zajęła, oddawna dawało się odczuwać. Ta powódź procesów, jaka spada na Polaków redaktorów, przewodniczących stowarzyszeń, księgarzy i wszelkich działaczy publicznych, wymaga koniecznie doraźnej pomocy instytucyi, któraby zadosyć czyniła potrzebom tych zwłaszcza poszkodowanych, dla których pomoc adwokatów jest częstokroć połączona z trudnościami nie do pokonania.

Pomoc materyalna „Straży" ma się sprowadzać do popierania pierwszych kroków młodych pracowników polskich, zmuszonych torować sobie drogę w walce konkurencyjnej ze stypendystami rozmaitych niemieckich stowarzyszeń antipolskich. Ta część działalności „Straży" będzie więc uzupełniała pracę „Towarzystwa im. Marcinkowskiego", które umożliwia kończenie szkół wyższych, średnich i zawodowych młodzieży polskiej. Ta przeto młodzież będzie mogła na wstępie do życia praktycznego korzystać z poparcia „Straży". „Straż" ma być organizacyą bezpartyjną i niepolityczną, gdyż pragnie skupić w swem łonie jak największą liczbę członków bez różnicy zapatrywań programowych. Niezmiernie nizka składka, wynosząca zaledwie 1 markę rocznie, umożliwia przystąpienie do „Straży" bardzo szerokim kołom społeczeństwa. Główny zarząd „Straży" mieści się w Poznaniu, ale Towarzystwo to zostało założone w tej myśli, aby mogło skupić członków ze wszystkich prowincyj polskich Prus — do Warmii i Mazowsza pruskiego włącznie. W tym celu świeżo wybrany zarząd ma skompletować się przez kooptacyę sześciu członków z prowincyi po za Poznańskiem.

Prawa hakatystyczne wietrzą w nowem stowarzyszeniu niebezpiecznego dla niemczyzny wroga, to też zanim jeszcze „Straż" rozpoczęła coś robić, już została ogłoszona za polski „Ostmarkerverein". Ciekawą ewolucyę odbywają organizacye polskie pod wpływem ustawicznie spadających na nie prześladowań i szykan policyi pruskiej, które sprawiają, że niewinne, bardzo dalekie od wszelkiej polityki towarzy-

---

każdy w swem piekle oddzielnem, gdzie milczenie jest straszniejszem, niż dźwięk spiżu.

I nigdy żaden głos ludzki nie odezwie się z łagodnem słowem: oczy, śledzące nas przez okienko we drzwiach, patrzą niemiłosiernie i surowo: zapomniani przez wszystkich, gnijemy duszą i ciałem.

W upodleniu i samotności rdzewieje żelazny łańcuch naszego życia: jedni przeklinają, drudzy płaczą, są i tacy, którzy nie wydadzą żadnego jęku; lecz dzięki nieśmiertelnym prawom boskim kamienne serce pęka.

* * *

A każde serce ludzkie, pękające w celi więziennej lub podwórzu, jest jako ta szkatułka strzaskana, której skarb powierzony został Bogu i najcenniejszą wonnością nardu wypełnił zapowietrzony dom trędowatego.

Szczęśliwi ci, których serca mogą uledz pęknięciu i osiągnąć ukojenie przebaczenia!

Czyż człowiek zdołałby inaczej zaprowadzić ład w swem życiu i oczyścić duszę z grzechów? Tylko przez serce pęknięte Chrystus wejść doń może!

* * *

A ten, którego gardło obrzmiałe jest i sine, oczy martwe i skamieniałe, oczekuje świętych rąk, które złodzieja wprowadziły do raju; bo Pan nie gardzi sercem pękniętem i skruszonem.

Człowiek okryty szkarłatem, który ogłasza prawo, udzielił mu trzy tygodnie życia, trzy krótkie tygodnie dla uzdrowienia duszy od jej rozterki, dla oczyszczenia z śladów krwi ręki, która trzymała nóż.

Krwawemi łzami oczyścił rękę, tę, która trzymała stal; bo tylko krwią można zmyć krew, tylko łzami uleczyć; więc szkarłatne piętno Kaina, stało się śnieżnobiałem znamieniem Chrystusa.

VI.

W więzieniu w Reading, pod miastem, znajduje się mogiła pohańbienia; tam spoczywa nieszczęśnik trawiony ogniem, w całun płomienny spowity, w grób bezimienny rzucony.

Niech spoczywa w ciszy, do chwili kiedy Chrystus z martwych powoła umarłych: nie trzeba łez wylewać, ani wydawać westchnień: ten człowiek zabił to, co kochał i umrzeć musiał.

A każdy zabija to, co kocha, i bodaj każdy wie o tem: jeden spojrzeniem nienawiści, inny słowem pieszczoty, tchórz — pocałunkiem, człowiek odważny —mieczem.

przekł. z angielskiego.

stwa z musu stają się politycznemi. Tak się się ma np. z „Sokołem". Towarzystwo to założone na wzór „Turnverein'ów" niemieckich miało zawsze na celu jedynie ćwiczenia i popisy gimnastyczne. Pomimo to jednak władze pruskie zwalczały je systematycznie i nader gorliwie, pomawiają co dążności polityczne. Żadne dowodzenia nie odnosiły skutku, sądy pruskie niejednokrotnie wyrokami swymi potwierdziły opinię pruskich władz administracyjno-politycznych. Wyroki te narzuciły „Sokołowi" rozmaite obowiązki, spadające na stowarzyszenia czysto polityczne. Tak np. wszelkie zebrania sokolskie podlegają nadzorowi policyi, następnie członkiem towarzystw sokolskich może zostać tylko ten, kto ukończył 18 rok życia, dalej o przystąpieniu i wystąpieniu każdego członka winno się zawiadamiać policyę itd. itd.

Policya pruska, gwałtem narzucając „Sokołowi" charakter stowarzyszenia politycznego, mimowoli nadała mu jego prawa. To, czego niewolno zwyczajnemu związkowi gimnastycznemu, przysługuje w pełni stowarzyszeniu politycznemu. A więc na zebraniach sokolskich wolno mówić o wszelkich sprawach politycznych, prowadzić propagandę tych lub owych zasad politycznych, agitować w myśl haseł politycznych itd. w granicach, zakreślonych niemieckim kodeksem karnym.

Kiedy wśród sokołów zapanowało przekonanie, że nie uda się przekonać władz pruskich, poczęto zastanawiać się nad środkami wyciągnięcia korzyści z położenia, w jakiem się znalazło towarzystwo skutkiem szykan policyi. I oto na ostatnim zjeździe sokolskim w Poznaniu uchwalono rezolucyę, nawołującą członków do prowadzenia działalności oświatowej. Rezolucya ta ma być w czyn wprowadzona przez wspólne czytanie i studyowanie literatury polskiej na zebraniach i w domu, przez odczyty treści ogólno - kształcącej, zakładanie bibliotek, przez rozdawanie wydawnictw ludowych, elementarzy, podręczników historycznych i t. d. podczas wycieczek, przez zakładanie biblioteczek dziecinnych i wspólną naukę języka polskiego. W ten sposób sokolstwo w zaborze pruskim wchodzi na nowe drogi. Mogłoby ono wciągnąć w swe szeregi bardzo znaczny zastęp młodzieży i stać się ośrodkiem pożytecznej pracy kulturalnej—a to tem bardziej, że jest jedyną organizacyą mieszczańską, na którą kler bezpośredniego wpływu nie wywiera.

Świeżo odbyte walne zebranie Towarzystwa przyjaciół nauk daje niewesoły obraz działalności tej instytucyi, która ma skupić pracę wszystkich ludzi w zaborze pruskim, oddających się studyom naukowym. Minęły bowiem bezpowrotnie te czasy, kiedy Poznańskie przyczyniało się do wzbogacenia ogólno-narodowej skarbnicy naukowej. Minęły czasy Działyńskich, Libeltów, Cieszkowskich, Malinowskich. „Pozostały nam dzisiaj na tym cmentarzu historycznym zasypane mogiły, a w sercu naszem żałobne po nich wspomnienia"—mówił sekretarz Towarzystwa — p. Engeström, zagajając ostatnie zgromadzenie i nawołując nielicznie zebranych członków do „podtrzymania świętego znicza". Istotnie znacznym dorobkiem Towarzystwo pochlubić się nie może. Rozpoczęta publikacya dyplomataryusza wielkopolskiego z XV wieku częściowo jest zaledwie dziełem Towarzystwa, gdyż nietylko środki wpłynęły z po za Towarzystwa, wykonanie wydawnictwa powierzone też zostało uczonemu krakowskiemu—prof. Piekosińskiemu. Pierwszy, blizko 100-arkuszowy tom tego zbioru dokumentów ukaże się już wkrótce i będzie zawierał materyał od roku 1400 do śmierci Władysława Warneńczyka. Jeśli dodamy do tego III i ostatni tom ilustrowanego albumu zbiorów archeologicznych Towarzystwa, który jest na ukończeniu, oraz „Rocznik", zawierający kilka prac, a w tem i rzeczy nadesłane z po za zaboru pruskiego, również jeszcze niewydany, to tem wyczerpie się najzupełniej cała praca wydziału historyczno - literackiego. Jeszcze mniejszą żywotność objawiał wydział przyrodniczo-techniczny. Większa ruchliwość cechowała natomiast wydział lekarski, którego organem są „Nowiny lekarskie" — jedyne w Poznańskiem pismo zawodowo-naukowe. Po za skromną działalnością wydziałów praca Towarzystwa sprowadzała się do pomnożenia pochodzących z darów zbiorów muzealnych i bibliotecznych.

W ciągu najbliższych trzech miesięcy odbędą się wybory w trzech okręgach, gdzie bezpośrednio zainteresowana jest ludność polska, mianowicie w dwóch górnośląskich i jednym zachodnio-pruskim. Mandaty Korfantego i Brejskiego zostały ostatecznie unieważnione przez parlament, wskutek czego w okręgu katowicko-zaborskim na Górnym Śląsku i toruńsko-chełmińskim w Prusach Zachodnich rozpocznie się już wkrótce walka wyborcza. To samo będzie i w okręgu opolskim na Górnym Śląsku z powodu śmierci posła Vogta, tylko że tu chodzi o mandat nie do parlamentu, lecz do sejmu pruskiego.

Przykra niespodzianka spotkała „Komisyę kolonizacyjną" i obóz hakatystów wogóle. W rozpaczliwem poszukiwaniu kolonistów, dla kupionej przez „Komisyę" ziemi, zwrócono uwagę na ludność niemiecką Galicyi. Wydano szumne odezwy, obiecujące złote góry i niemal rzeki miodem i mlekiem płynące, jeśli tylko zechcą przenieść się do Poznańskiego. Istotnie, początkowo zwabiono ich trochę, ale była to garstka, która żadną miarą nie mogła odpowiedzieć popytowi „Komisyi". Zabrano się więc do agitacyi energiczniejszej i postanowiono sprowadzić—na koszt „Komisyi"—wysłanników niemieckich kolonii galicyjskich, aby ci, po obejrzeniu raju ziemskiego, proponowanego im przez „Komisyę", mogli nakłonić swych współwyznawców (chodzi jedynie o ewangelików, bo Niemcy-katolicy przeważnie się już spolszczyli) do opuszczenia Galicyi. Owi wysłannicy pojechali w Poznańskie i do Prus Zachodnich, obejrzeli kolonie „Komisyi", która postarała się o efekt należyty i powrócili do domu. We Lwowie odbył się zjazd delegatów 130 osad ewangelicko-niemieckich Galicyi, a na tym zjeździe zdano sprawę z oględzin pracy „Komisyi kolonizacyjnej". Wysłannicy galicyjscy nie przeczą, że osady włościańskie „Komisyi" są pobudowane z „niesłychanym nakładem" i niewątpliwie mogą się podobać. To też kolonistom w ciągu pierwszych trzech lat, kiedy nie mają obowiązku płacenia renty i kiedy doświadczają różnych ulg, dzieje się nieźle. Ale gdy poczyna się spłacanie renty, co ma trwać lat 50, położenie znacznie się pogorszy—tembardziej, że niewiadomo—czy polityka pruska zawsze będzie szła w tym samym kierunku. Co prawda w warunkach, na jakich Niemiec otrzymuje kolonię, powiedziane jest, że może sprzedać swą posiadłość każdemu Niemcowi, ale pytanie, czy taki nabywca niemiecki się znajdzie. Wobec tego zjazd uchwalił wydanie odezwy, przestrzegającej przed udawaniem się w Poznańskie. Odezwa zapytuje: „Czy te kraje — Poznańskie i Prusy Zachodnie—są istotnie tak rozkosznym rajem. Na to odpowie nam każdy nieuprzedzony niemiecki ewangelik nawet w samych Niemczech: Nie, i wcale nie! Przeciwnie, w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich panują stosunki bardzo niewesołe. Rolnictwo musi tam prowadzić ustawicznie gorzką walkę; ziemia nie jest bynajmniej lepsza, ale za to o wiele droższa, niż w Galicyi, a do tego przyłącza się jeszcze zawzięta walka narodowa między Niemcami a Polakami, w którą nas chcą wpakować w sam środek." Dalej odezwa przytacza różne głosy niemieckie, dowodzące, że warunki istnienia w Wielkopolsce nie są dla Niemca zbyt pociągające i że, jak pisze „Reichsbote" urzędowy — „każdy urzędnik i wogóle Niemiec stara się stamtąd jaknajprędzej wydostać." W końcu odezwa demaskuje szwindel „Komisyi kolonizacyjnej", wmawiającej Niemcom galicyjskim, że wybierając się w Poznańskie, powracają do swej niemieckiej ojczyzny. „Żaden z naszych kolonistów w Galicyi—mówi odezwa—nie pochodzi przecież z Poznańskiego. Wirtembergia, Hesya, Bawarya — kraje, z których nasi ojcowie pochodzili, tak samo niemal różnią się od Poznańskiego, jak i od Galicyi i Polacy uważają Poznańskie do dnia dzisiejszego za kraj, do nich należący".

Na Mazurach i Prusach Wschodnich ma znowu powstać pismo polskie—po trzechletniej przerwie, spowodowanej upadkiem „Gazety Ludowej" w Ełku. Pismo to—„Goniec Mazurski" ma wychodzić w Ostrodzie—trzy razy na tydzień. Wydawcą jest p. Szczepan Kazar, właściciel dóbr pod Ostrodą, redaktorem zaś p. Stanisław Zieliński, korespondent „Słowa Polskiego" we Lwowie.

Wiadomości o ustępstwach dla żywiołu polskiego w państwie rosyjskiem budzą ogromny niepokój w kołach hakatystycznych. Pisma szowinistyczne notują z wielkiem niezadowoleniem wszelkie objawy w tej dziedzinie i nie ukrywają bynajmniej obaw, że zmiana taktyki rządu rosyjskiego względem Polaków może wywrzeć wpływ nietylko na ludność polską Prus, ale i na pruską politykę antipolską. Wobec tego przestrzegają rząd pruski, aby nie dał się sprowadzić z drogi dotychczasowej polityki.

Pośrednik.

Listy z Francyi.

„Unité" i rozłam skrajnej lewicy.—Dyskusya w Izbie nad prawem rozdziału Kościoła od Państwa, art. 4.

Zaledwie przebrzmiały wiwaty na cześć połączenia oddawna z sobą wojujących guesdystów, jauresistów i allemanistów, a już słynna „Unité" rozpadła się. Deputowani ze skrajnej lewicy jeden po drugim podają się do dymisyi, bynajmniej jednak nie z parlamentu, lecz ze zjednoczonej grupy społeczników. Przebiegły w reklamach i łudzeniu abonentów naczelny redaktor „La Petite République" Gérault Richard czekał tylko sposobności ażeby z hałasem wystąpić a raczej nie przystąpić do nowo uformowanej grupy deputowanych na zasadzie ostatniego kongresu socyalistów z końca kwietnia r. b. Toż samo uczynił współpracownik Milleranda — Colliard, mer Lyonu Augagneur, Grousset i inni. Tylko znakomity dyalektyk Jaurès i zręczny polityk Pressensé nie zdradzili jeszcze zamiaru wycofania się z nowoutworzonej świeżo partyi.

Czemu przypisać tak względnie łatwo w tym roku i tak prędko do skutku doprowadzone zjednoczenie społeczników francuskich i jeszcze rychlejszy ich rozłam?

Wszak od sześciu, od dziesięciu lat nawet, jeśli nie więcej, lud francuski, wyborcy, domagali się tego połączenia na wszystkich zebraniach, zjazdach i kongresach, a jednak Guesde, Lafargue nie mogli się porozumieć z Jaurès'em lub Viviani'm; rozłam wciąż istniał, bratobójcza walka nie ustawała.

Czyżby rzeczywiście potężny Jaurès ukorzył się przed kongresem amsterdamskim, jak średniowieczny heretyk przed soborem papieskim, czyżby znaczenie jego było tak wielkie, że delegaci francuscy czemprędzej

pośpieszyli usłuchać jego rad? Naiwni mogą tylko przypuszczać coś podobnego. Niemal dosłownie brzmiące życzenia uznano jednomyślnie i na paryskim międzynarodowym Kongresie, i na brukselskim, a jednak ani guesdyści, ani jauresiści nie spieszyli się połączyć. Nawet krwawe wypadki w Fourmies, Châlons, François i Limoges nie skłoniły przywódców do wspólnej, zgodnej akcyi przeciw wrogowi, do skupienia się w jedną wielką armię. Inne całkiem względy kierowały teraz nimi.

Przedewszystkiem zbliża się chwila nowych wyborów do Izby w r. 1896. Francuscy społecznicy drżą na samą myśl, że znowu ktoś z nich może przepaść, jak to miało miejsce przy ostatnich wyborach z Guesde'm, Lafargue'mi Viviani'm, wszystkich sił przeto dokładają, ażeby partya radykałów w rodzaju Clemenceau, Pelletan i Maret nie wzięła ponownie góry nad niemi. Jest to wzgląd „de boutique", jak mówią Francuzi.

Powtóre chcieliby oni znowu zawładnąć związkami zawodowymi i wielką ich federacyą „Confédération générale du Travail" która conajmniej od lat sześciu całkiem z pod ich wpływu się wyzwoliła i rozwija się samodzielnie, rosnąc w niepomierną siłę. Do ostatnich czasów guesdyści i jauresiści umyślnie ignorowali Ogólny związek i Giełdy pracy, nie wspominali nawet o ich działalności i zebraniach w swych pismach, nie chcieli przemawiać na zgromadzeniach równorzędnie z ich przedstawicielami. Zdawało im się, że okazując w ten sposób swe lekceważenie, skażą syndykaty rolnicze i ich związki na marną wegetacyę i zmuszą ostatecznie do uznania hegemonii grup politycznych. Tymczasem taktyka ta okazała się błędną. Francuskie związki robotnicze i giełdy pracy, rozwijając się na gruncie czysto ekonomicznym, mają za zadanie nietylko polepszenie doraźne ile uświadomienie i przygotowanie do ostatecznego wyzwolenia; przyjęły one za zasadę swej działalności „action directe", i stały się tak potężne, że dziś wszyscy rachować się z niemi muszą.

Poznali więc obecnie swój błąd jauresiści i guesdyści i zapragnęli, niby przyjaciele duchem pokrewni, pracować razem z Ogólnym Związkiem pracy. W swych uchwałach z ostatniego kongresu wyraźnie to zaznaczyli i zwrócili się doń nawet w sprawie urządzenia razem wielkich manifestacyi. „Confédération générale du Travail" propozycyi nie przyjęła, dowodząc, że najlepiej w każdym wypadku działać współrzędnie, a między sobą uświadomieni robotnicy powtarzają: „Timeo Danaos et dona ferentes", nawołują wszystkich towarzyszów do baczności, ażeby znowu związki i giełdy pracy nie stały się ślepem narzędziem w rękach radców miejskich i deputowanych.

I mają racyę francuscy robotnicy. Obecna „Unité" różnych frakcyj partyi społecznej jest nader sztuczną. Większość uczestników kwietniowego Kongresu paryskiego nie odczuwa potrzeb ludu roboczego, nie rozumie, czy też nie chce zrozumieć jego dążeń i jego aspiracyi. Skoro więc wysunęła się pierwsza kwestya na porządek dzienny: zarówno z powodu energicznego przemówienia Hervé'go, jak przyjazdu Alfonsa XIII, rozłam musiał nastąpić, musieli się usunąć zamaskowani nacyonaliści.

Głęboka różnica przekonań zarysowała się już oddawna między skrajnymi deputowanymi i w głośnej kwestyi rozdziału Kościoła od państwa, dyskutowanej od kilku miesięcy w Izbie.

Od 1870 r. sprawa ta podnoszoną jest w Francyi, konkordat jest już dziś tylko trupem zgalwanizowanym. Zdawałoby się, że wrzód dojrzał i można go rozciąć, że kwestya może być obecnie jasno postawioną i rychło rozstrzygniętą, zwłaszcza kiedy większość komisyi parlamentarnej jest jej przychylną, na czele stoi wolnomyślny radykał Buisson, a za sprawozdawcę ma przedstawiciela skrajnej lewicy jauresistę, A. Brianda. Tymczasem okazuje się wyraźnie, że projekt komisyi nie dąży do całkowitego rozdziału państwa od kościoła, lecz do jakiejś zgodnej unii, narzuconej z jednej strony po oficyalnem zniesieniu budżetu wyznań.

Już na projekt pierwotny, opracowany przez Brianda, nie zgodzili się szczerzy wolnomyśliciele francuzcy, tembardziej na poprawki, do których on wraz z Jaurèsem skłania się pod naciskiem centrum i prawicy. Jauresiści gotowi są do jeszcze większych ustępstw, gdyż chcieliby koniecznie przeprowadzić w Izbie w tym roku projekt Séparation de l'Eglise et de l'Etat, co pozwoliłoby im w maju roku przyszłego pochlubić się przed nieświadomymi wyborcami owocem swej dyalektyki.

Rozważniejsi, starsi radykali tej miary, co Clemenceau Pelletan lub Naguet, nie mówiąc już o skrajnych socyalistach, jak Allard lub Vaillant uważają, że należy zwalczać wszelkie szkodliwe poprawki, że lepiej nawet ze sprawą zaczekać, niż ją obniżyć i wolnej myśli zaszkodzić. Wbrew i pomimo ich głosowaniu a dzięki jauresistom, przyjęto już do art. 2 poprawkę dep. Sibille'a, że państwo obowiązane jest utrzymywać kapelanów przy liceach i więzieniach. Przyjęto też zasadnicze punkty projektu Brianda, według których wszystkie kapitały, ruchomości i nieruchomości kościoła nie przechodzą, jak należałoby się spodziewać, w ręce narodu, od którego były wzięte lub wyłudzone, ale pozostają w rękach stowarzyszeń wyznaniowych. A suma to pokaźna. Pelletan obrachował ją na 300 milionów franków; ściślejsze jednak obliczenia wykazują pół miliarda, dochód zaś roczny wszystkich parafii we Francyi przeszło na 65 milionów. Ponieważ przypuszczalna ilość katolików, praktykujących we Francyi, wynosi 8 milionów (na 38 mil. zapisanych), można przeto jesze zrozumieć, że znajdują się radykali, w imię „wolności sumienia", żądający pozostawienia obecnego majątku kościelnego w posiadaniu stowarzyszeń wiernych. Ale pojąć trudno jak szczery, wolnomyślny radykał, społecznik, choćby reformista, jak Jaurés lub Briand, może zgadzać się na następującą w art. 4 poprawkę, która przeszła naturalnie znakomitą większością głosów: „majątek ruchomy i nieruchomy przechodzi w ręce stowarzyszeń wyznaniowych, które będą prawnie uformowane na zasadach ogólnej, zwierzchniej organizacyi wyznaniowej". Inaczej mówiąc—według zasad przyjętych przez biskupów, a tem samem przez Rzym. Słowem do milionowego majątku kościelnego nie państwo będzie miało prawo, jak to ma miejsce dzisiaj, ani też właściwe stowarzyszenia wiernych, lecz władza kościelna (biskupi i papież), która będzie zawsze decydowała, czy członkowie danego stowarzyszenia pozostali ortodoksyjnymi, czy nie zmienili reguł i zasad, które po wsze czasy mają być niewzruszonemi i obowiązującemi.

W praktyce więc okaże się, że skoro jaki ksiądz, jak np. Loisel, zacznie w odmienny sposób, niż Rzym nakazuje, objaśniać ewangelię, natychmiast przez swą władzę zwierzchnią pozbawiony będzie środków utrzymania. W przyszłości, choćby wszyscy członkowie danego stowarzyszenia wyznaniowego stali się wolnomyślnymi, nikt nie będzie miał prawa do jego mienia, prócz biskupa i Rzymu; pieniądze ludu francuskiego przejdą w ręce wyższych dostojników Kościoła, stojących na straży zastarzałych dogmatów.

Przyjęcie przez Izbę 4 art. wywołało zdumienie i ogólne oburzenie wsród tysięcy szczerych wolnomyślicieli, którzy rozumieją, że oddając setki milionów w ręce Rzymu, szykują przeciw sobie nową broń.

Na niewiele się już zdadzą dodatki, jak 4-bis głoszący, że majątki, pochodzące od państwa i nieobciążone żadnymi legatami późniejszymi, niż prawo z X Germinala, wrócą w jego posiadanie. Te majątki bowiem są nieduże. Co ważniejsze, w kilka dni znowu przyjęto nowy dodatek dep. Sibille'a, że państwo, departamenty i gminy będą odpowiedzialne za wszelkie długi zaciągnięte na nieruchomości kościelne.

Dzięki więc temu, majątki kościelne przechodzą nie do rąk stowarzyszeń wyznaniowych, lecz stają się własnością dogmatu, a Rzeczpospolita ma być stróżem ortodoksyi. Historya wolnej myśli nie zapisze złotymi głoskami imion Brianda i Jauresa, a przecież oni należą do skrajnej lewicy!...

Dr. J. Zieliński.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

— —

W przeszłym tygodniu oglądaliśmy dwa bardzo przykre widowiska: wykonywanie wyroków zemsty ludu na hersztach rozpusty i rozboju oraz sądy inteligencyi nad tą egzekucyą. Pierwszy wypadek, jak zresztą wszystkie wypływające z dna społecznego na wierzch, zadziwił nas niezmiernie. My, którzy wiemy dokładnie, ile ten lub ów ma dochodu, koni i utrzymanek, my, którzy ciągle bawimy się w *interview* z aktorkami o zagadnieniach życia, my, którzy umiemy opowiedzieć historyę każdej rodziny szlacheckiej i każdego łokcia kwadratowego Warszawy, my, których myśl ciągle buja i ściele sobie gniazda na wyżynach — my, szczerze mówiąc, nie lubimy i nie badamy ludu. Jego więc historya bieżąca przedstawia nam się pod postacią szeregu niespodzianek, wobec których stajemy zdumieni i dziecinnie zakłopotani. Czy wybucha emigracya do Ameryki, czy bunty służby folwarcznej, czy bezrobocia robotnicze — wszystko to spada na nas niby piorun z jasnego nieba, które wcale nie było pogodnem, ale my byliśmy za leniwi i za obojętni, ażeby podnieść oczy i dostrzedz na niem chmury. Twórcy naszej opinii publicznej, ci wieczni aktorzy prowincyonalni, grający role wycofane z repertuaru wielkich scen świata, role melodramatycznych bohaterów lub głupkowatych moralizatorów, deklamowane przesadnie z uroczystym gestem i mocnymi akcentami na najpustszych wyrazach, naturalnie wobec tej nowej niespodzianki przybrali postawę z pomników i wypowiedzieli te wielkie słowa, z których każde ryło się samo w granicie ich piedestałów. „Nie wchodząc w słuszność... musimy surowo potępić..." i t. d. Taka ich stała metoda: oni bowiem nigdy „nie wchodzą w słuszność", ale zawsze „muszą potępiać" dla tej prostej przyczyny, że nie umieją lub nie chcą analizować faktów i tylko sprawdzają ich formalną zgodność z prawem, zwyczajami lub poprostu z etykietą. Dla nich złoczyńca, zabijający kogoś w celach grabieży i zrozpaczony, są zarówno przestępcami i ludźmi źle wychowanymi. I oto właśnie zdarzyło się coś podobnego. Nawet powierzchowna obserwacya zauważyć mogła, że gangrena prostytucyi ze wszystkiemi swemi powikłaniami rozpostarła się w Warszawie bardzo szeroko. Jak ona przedstawiała się w ogólnym obrachunku, tego skutkiem pobłażliwej kontroli nikt właściwie nie wiedział; wiadomo było tylko, że tysią-

ce meldowanych i niemeldowanych nieszczęśliwych potępienie roją się po wszystkich ulicach, że między niemi jest znaczny procent dzieci a ogromny żydówek, że brak powściągów a może głównie utrudniona przez liczne współzawodnictwo walka o byt pobudza je do zuchwałych zaczepek, że wreszcie są one przedmiotem strasznego wyzysku ze strony t. z. sutenerów, będących jednocześnie złodziejami i nożowcami. Terror zbójecki, który dziś już w społeczeństwach ucywilizowanych stanowi jedynie rzadkie przeżytki, skryte po norach i ustroniach życia, u nas należy jeszcze do najbardziej rozpowszechnionych postaci stosunków społecznych. Podlega mu cały nasz lud wiejski, drżący przed złodziejami i rabusiami, którzy go tyranizują, obdzierają, rujnują, doprowadzają do rozpaczy. Podlega mu również kupiectwo i przemysł, wszystkie stany i wszystkie gałęzie pracy: każda z nich ma swoją jemiołę, ma swoją organizacyę pasożytniczą, która w nią wrasta, ssie ją, wyniszcza, doprowadza do rozpaczy i buntu. Ileż razy np. czytamy w gazetach, że znękani złodziejstwami chłopi tu zatłukli koniokrada, tam oberżnęli mu nos i uszy, gdzieindziej znowu przez związanego i położonego na szosie przepuścili kilka ładownych furmanek. Jeżeli sprawcy tej egzekucyi zostaną wyśledzeni, idą pod sąd i do rot aresztanckich, ażeby kiedyś znowu za nią się pomścić. I tak ciągle powtarza się ta sama zależność objawów i zdarzeń. Przykłady: Pewnemu chłopu spaliło się wszystko, oprócz reszty zboża pozostałego na polu. Za kilkanaście rubli zdobytych żebraniną, kupuje on sobie konia, ażeby to zboże zwieść i ziemię zaorać pod zasiew oziminy. Pierwszej nocy konia mu kradną. Inny chłop bezrolny, któremu czworo dzieci zachorowało na dyfteryt, kupuje dla nich na mleko krowę za pożyczone pieniądze: trzeciej nocy mu ją kradną. Te fakty, któreby można pomnożyć tysiącem innych, a które w swoim czasie zakomunikowałem prokuratorowi z poręczeniem ich wiarogodności, odsłaniają nam właściwą przyczynę „barbarzyńskich rozpraw".

Wystąpiła ona również w pogromie zakładów i szerzycieli rozpusty, dokonanym przez robotników żydowskich. Słuchając opowieści o zuchwalstwie i bezkarności „sutenerów", doznajemy wrażenia, jak gdyby przed naszym umysłem przesuwały się obrazy bajki. W społeczeństwie kulturalnem, formalnie ubezpieczonem całą mocą prawa, mogli oni wydzierać i rzucać w otchłań nierządu rodzicom córki i mężom młode żony bez żadnej obawy odpowiedzialności a z cyniczną groźbą, że wszelką próbę uwolnienia branek ukarzą nożem. Groźbę tę spełniali bardzo często a ponieważ wytworzyli bardzo rozgałęzioną i zwartą organizacyę, więc na podobieństwo opryszków wiejskich stanowią potężną władzę, złodziejsko-prostytucyjną mafię, z którą walka była bardzo niebezpieczną, a zwycięstwo niemożliwem. Żydzi nie są ludem do gwałtownych czynów i morderstw skorym, ale gdy ich przygniotło bez nadziei ulgi podwójne brzemię nieszczęścia i hańby, gdy do niego przyłączyły się ze strony chrześcian urągania nad ich uległością dla niecnej tyranii łotrów—zerwali się do czynnego protestu. Gromada ich, podobno złożona głównie z młodych robotników, przeleciała jak wicher przez domy rozpusty i mieszkania sutenerów, niszcząc pokalane sprzęty i niecnych złoczyńców. W pierwszym dniu pogromu nie przywłaszczono sobie najmniejszego drobiazgu i ograniczono się wyłącznie do osób i zakładów żydowskich.

Jeżeli od marca do maja *Kuryer Warszawski* mógł ogłaszać zmyślone przez jakiegoś figlarza opisy niespełnionych zbrodni; jeżeli te fantazye były tak jaskrawe i liczne, że wyrobiły Woli przydomek „krwawej" i zniesławiły ją w całym kraju; jeżeli dopiero po dwu miesiącach tego siewu trwogi i zgrozy nastąpiło urzędowe zaprzeczenie; jeżeli mniemani opryszkowie wolscy, „przewyższający pod względem okrucieństwa najdzikszych mieszkańców Polinezyi", mieli karmić „legendowego smoka codziennie krwią coraz to nowych ofiar"—jak się jeszcze w ostatnim numerze wyraził *Tygodnik Ilustrowany* — a nikt przez 8 tygodni nie był ciekaw obejrzeć zblizka tych Polinezyjczyków, ani tego smoka, to nic dziwnego, że ruch antiprostytucyjny śród żydów dojrzał po za uwagą obserwatorów i dozorców naszego życia społecznego. W zupełnem nieprzygotowaniu do zrozumienia go zaczęto dziurę wiedzy zatykać czopem, który najbliżej był pod ręką i który dziś służy do różnych użytków publicystycznych—analfabetyzmem. Wynaleziono nawet proroka, który przepowiedział tę batalię „na gruncie nieporozumień i kontrastów socyalnych". Zaiste, klasyczny przykład bezmyślności naszych objaśnień życia społecznego. Śród Żydów prawie niema analfabetów, pogromcy należeli do warstwy oświeceńszej a sutenerzy rekrutują się nawet z ludzi wykształconych — gdzie tu więc był analfabetyzm? Nadto, jakie „nieporozumienie i kontrasty socyalne" ujawniły się w burzeniu ognisk i tępieniu przedsiębiorców rozpusty?

Najzupełniej słusznie powiedziano, że ta krwawa operacya nie usunie złego, bo ono jest chorobą całej krwi społecznej, a nie naroślą miejscową; ale i to nie ulega wątpliwości, że sam alfabetyzm wcaleby tu nie pomógł. Potrzeba przedewszystkiem znieść lub zmienić warunki, sprzyjające rozrostowi tej gangreny. Niech z domów rozpusty zdjęta będzie tajemna opieka, nietylko uprawniająca ich sromotny zawód, ale tolerująca ich najstraszniejsze nadużycia; niech sutenerom odebrane zostaną glejty bezpieczeństwa, pozwalające im bezkarnie kraść, więzić i zmuszać do nierządu młode kobiety, a na ulicach gospodarować jak wilkom w lesie; niech społeczeństwo ma prawo badać nieszczęsną ranę prostytucyi prawym umysłem i ograniczać ją czystemi rękami; wtedy ta bolesna sprawa nie będzie rozstrzygana za pomocą pogromów.

Uprzytomniwszy sobie dokładne położenie, należy wątpić, czy pokrzywdzeni przez sutenerów i handlarzów ciałem kobiecem usłuchają rad i wskazówek przyzwoitego zachowania się, udzielonych im przez mistrzów ceremonii w naszej prasie. Bo ostatecznie ci zacni obywatele, których bardziej obchodzi rozpruta pierzyna lupanaru, niż sponiewierane w nim życie ludzkie, ci wrażliwi Petroniusze, chwytający w lot sprzeczność czynów z wymaganiami dobrego wychowania—ci panowie winni są odpowiedź: co począć? Powtarzam—co począć? Przeczytać podręcznik *savoir-vivre'u*?

Za każdym lwem lub tygrysem idzie zawsze hyena i szakal. Za pogromcami żydowskiemi podążyli rabusie i złodzieje, którzy wtargnęli do mieszkań kokot i kobiet samotnych, gdzie pozorem zemsty osłonili zwyczajną grabież. Zarówno ci ludzie, jak ich czyny nie mają nic wspólnego z początkowym ruchem i nie zasługują na szczegółowy rozbiór. Ci bohaterowie muszą poprzestać na sławie i losie prostych rzezimieszków.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

PROBLEMAT PRAWDY
u Fr. Nietzschego.

Przez bogatą, wielostronną i wielostrunną umysłowość Nietzschego przewija się pewien znamienny rys zasadniczy, wszystkim jego wyprawom myślowym ustawicznie towarzyszący ton—głos „sumienia intelektualnego" .... „lecz pośród *rerum concordia discors* i tej cudownej niepewności i wieloznaczności istnienia stać—*i nie pytać* i nie drżeć pożądaniem i rozkoszą pytania, nawet nie nienawidzieć pytającego, ani przynajmniej nim się bezsilnie bawić, oto czem gardzę"...—woła w jednym z aforyzmów „Radosnej nauki".

Nakaz sumienia intelektualnego tłomaczy lepiej i gruntowniej, niż wszystko inne, stosunek Nietzschego do otoczenia. Że się stopniowo oddalał od wszystkiego i wszystkich, których kiedykolwiek otaczał przyjaźnią, ukochaniem i czcią — Schopenhauer, — Wagner, Rée, Deussen, Rohde, — stało się nie pod wpływem, jak tego chce niekiedy bardziej tępa, niż fanatyczna krytyka, jakiejś „sofistyki" uczucia, lecz pod naciskiem potrzeby pytań — namiętnych, stanowczych, ostatecznych, na które być może wogóle brak dostatecznie zadawalających odpowiedzi. Ten rozdźwięk pomiędzy charakterem pytania a niezbędnie ograniczoną treścią odpowiedzi prowadzi Nietzschego w samotność Górnego Engandinu. Jego patos intelektualny zawiera w sobie jeszcze i inną możliwość sprzeczności, tym razem bardziej wewnętrznej. Sumienie intelektualne bowiem jest nietylko potrzebą pytania, zarysowania zagadnień, lecz i wysiłkiem ich rozwiązania, niejasno uświadomionem przewidywaniem ostatecznego wyniku. To zaś przypuszcza pewne bliżej nieokreślone uczucie prawdy. Z drugiej strony ostrze pytań uderzy w nią, w *prawdę*. Powstanie rozdźwięk pomiędzy uczuciem a pojęciem prawdy, wyłoni się problemat prawdy.

Problemat prawdy po raz pierwszy zarysował się na widnokręgu myśli w Grecyi w 4 st. przed Chrystusem. Malarz Pyrrho, uczeń Demokryta i towarzysz wyprawy Aleksandra do Azyi sformułował trzy fundamentalne pytania: jaką jest natura przedmiotów (przez przedmioty należy rozumieć całą sferę rzeczywistości i możliwości, rzeczywistych i możliwych wartości)? jaką powinna być nasza wobec nich postawa? co wynika dla nas z tej postawy? Są to pytania które po 2-ch tysiącoleciach powtórzą się w filozofii Kanta [1]): co mogą wiedzieć? co powinienem czynić? czego się mogę spodziewać? — odpowiedź Pyrrhona brzmiała: o naturze rzeczy poprostu nic nie możemy wiedzieć; są one nie więcej to, niż tamto, ponieważ i zmysłowe i umysłowe poznanie są w równym stopniu zawodne; każdemu twierdzeniu można przeciwstawić inne, równie silne i wręcz przeciwne. Stąd wynika, że wobec rzeczy musimy się zachować najzupełniej sceptycznie, powstrzymując się od wszelkiego o nich sądu. „Epoche" jest konsekwencyą naszej niewiedzy. Na niej zaś spoczywa stan niewzruszalności—„ataraxia", bezwrażliwości—„apatheia".

[1]) R. Richter. Der Skeptizismus in d. Philosophie, str. 42.

Treść tych odpowiedzi, stanowiąca pojęcie starożytnego sceptyzmu, powtórzy się następnie w znacznie późniejszej pracy (200 r. p. Chr.) Sextusa Empiryka: „Zasady pyrrhonejskie“, które dotąd nie utraciły swej wysokiej, literackiej, historycznej i po części naukowej wartości.

Istotę sceptyzmu stanowi metoda antytetyczna, polegająca na przeciwstawianiu pewnym twierdzeniom innych wręcz przeciwnych. Nie jest to przytem bynajmniej jakiś wybieg dialektyczny lub sport myślowy, lecz wewnętrznie uzasadniona konieczność, że przeciwko każdej tezie, dotyczącej natury rzeczy („rzeczy w sobie“, „hipokeimenon“—naturalnie, bowiem żaden sceptyk nie przeczył „zjawiskom“ „phainomena“, innemi słowy swym stanom świadomości) można wystawić antytezę, ponieważ żaden ze środków naszego poznania nie sięga prawdy.

Niema żadnego kryteryum prawdy!—Oto punkt wyjścia i uzasadnienie metody (izostenji), tudzież ostateczny wynik rozważań sceptycznych, kształtujący w pewien sposób życie „praktyczne“ filozofa-sceptyka.

Niema kryteryum prawdy.—W jaki bowiem sposób dałoby się ono przedewszystkiem ogólnie określić? Różni filozofowie (mówią sceptycy) są różnych pod tym względem zapatrywań. Po to, aby z tej gmatwaniny i różnorodności zdań znaleźć wyjście, należałoby zbadać prawdziwość każdego z proponowanych przez nich kryteryów, to zaś przypuszcza już istnienie jakiegoś ważnego probierza: dowodzilibyśmy więc ważności kryteryum przez ważność innego i znaleźlibyśmy się w *kole* (diallele). A w takim razie to inne kryteryum musi być dowiedzione przez jeszcze inne i t. d. aż do nieskończoności: otrzymujemy *regressus in infinitum*.

Po zatem i dla innych powodów kwestya kryteryum prawdy rozwiązaną być nie może. Przedewszystkiem, *kto* ma być onym krytykiem, sędzią, stanowiącym o prawdzie lub fałszu? Człowiek? Jest to już dowolne założenie. Człowiek bowiem nie różni się w niczem (mówią sceptycy) zasadniczo od zwierzęcia, jak tego chcą dogmatycy. Lecz i ci filozofowie nie są ze sobą bynajmniej w zgodzie, gdy chodzi o dokładne określenie pojęcia „człowiek”. Zresztą gdybyśmy nawet mogli pomyśleć człowieka, jako ściśle określone pojęcie gatunkowe, to i wówczas nic nie stanęłoby na przeszkodzie dalszemu pytaniu, *kto* mianowicie z ludzi ma stanowić o prawdzie? Mędrzec?—Są oni w ustawicznej ze sobą niezgodzie i sprzeczności, zresztą dlaczegóżby nie wyobrazić sobie jakiegoś męża przyszłości, jeszcze „mądrzejszego” od tych, co byli przed nim? A następnie, co nas zmusza do oddania sądu prawdy w ręce jednostki, a nie tłumu? To ostatnie jednak przypuszczenie nasuwa myśl, że być może „prawda” objawia się tylko subtelnym, wybranym jednostkom, nie zaś gromadzie przeciętnych ludzi. Moment ilościowy nie przeważa momentu jakościowego. Tłum przez swą ilość nie działa bardziej przekonywająco, ponieważ zawsze otrzymamy *jedno* twierdzenie, na które zgadza się wielu i któremu przeciwstawia się inne orzeczenie, wypowiedziane przez jednostkę. A zatem i w tym przypadku, jak i we wszystkich innych, wskazaną jest oględność, sceptyczne powstrzymanie sądu, nie oddawanie pierwszeństwa żadnemu z jednakowo silnych czynników.

Ten punkt już właściwie rozstrzyga zagadnienie: wobec bowiem nieistnienia podmiotu orzekającego nie może być mowy ani o funkcyi, przez którą, ani o normie, według której mógłby być wydany sąd, dotyczący probierza prawdy.

Lecz sceptyk, człowiek cierpliwy i łagodny, chętnie zgadza się na ustępstwa...

Przypuśćmy, mowi, że jakiś człowiek jest owym podmiotem orzekającym. Natychmiast powstanie pytanie, drogą jakiej działalności poznawczej zostanie przezeń sąd wydany. Przez zmysły? rozum? jedno i drugie?—Przez zmysły—mówią one w różnych okolicznościach zgoła coś innego: miód w stanie normalnym wydaje się słodki i przyjemny, przy zaburzeniach organicznych—gorzki i wstrętny.—Przez rozum—dla myślącego Gorgiasa nic nie jest prawdą, dla myślącego Heraklita—wszystko, dla innych myślących—to i owo.—Przez jedno i drugie—lecz dwaj zawodni świadkowie nie mogą razem wydać sądu prawdziwego.

Jeżeli żadna droga nie prowadzi do prawdy, to oczywiście nie może być mowy o jej normach. Postrzeżenie zmysłowe nie może być normą prawdy (= rzeczywistości w sobie), ponieważ dane mi są w niem moje własne stany świadomości. „Miód jest czemś innem, niż moje czucie słodkie, tak samo, jak piołun jest czemś innem, niż moje czucie gorzkie.”

Lecz i opracowanie logiczne poszczególnych postrzeżeń nie może być uważane za normę prawdy. Myślenie nie sięga przedmiotowej rzeczywistości. Nie mam przeto prawa *wnioskować*, że dane postrzeżenie jest do niej podobne lub niepodobne. Byłoby to bowiem to samo, gdybyśmy drogą rozumowania chcieli wnioskować o podobieństwie lub niepodobieństwie obrazu Sokratesa do niego, którego nigdyśmy przedtem nie znali.

W ten sposób sceptyk, nie mając żadnego probierza prawdy, wymawia: „onden oridzein” (nic nie określać) wobec rzeczywistej natury rzeczy. Zachowując niewzruszenie obojętną postawę wobec „prawdy”, sceptyk zaprzecza eo ipso nauce, jako poznaniu prawdy—i czyni to w imię życia. Oddaje się potokowi jego wymagań niepodzielnie, w pewnem znaczeniu — „bezmyślnie”. „Jesteśmy po stronie życia”—mówi Sextus Empiricus.

I Nietzsche walczy na tej samej stronie. Przewodnią myślą jego działalności filozoficznej (z wyjątkiem drugiego, t. zw. pozytywistycznego okresu, obejmującego „Ludzkie zanadto ludzkie” aż do „Radosnej nauki”) jest zdanie, wyrażone w 10 tomie (wyd. pośm.): poznanie powinno służyć najlepszemu życiu. „Powinniście—woła w tem samem miejscu—nie uciekać do jakiejś metafizyki, lecz czynnie poświęcać się stawaniu się kultury”.

Zagadnienie prawdy u Nitzschego ściśle wiąże się, podobnie jak i u sceptyków, z niemożnością poznania „istoty rzeczy”.—Poznanie i byt są to najbardziej sprzeczne sfery; pomiędzy bezwzględnie różnemi sferami — pomiędzy podmiotem a przedmiotem — niema żadnej przyczynowości, najwyżej pewna postawa estetyczna, jąkające się tłumaczenie na bezwzględnie obcy język.

Żadna droga nie prowadzi do istoty rzeczy, człowiek zaledwie dotyka „grzbietu rzeczy”. Czem więc jest „prawda”?—Ruchomą gromadą przenośni, metonymii, antropomorfizmów, słowem sumą ludzkich stosunków, iluzyj, o których charakterze zapomniano—monet, które zatraciły swój pierwotny obraz.

(d. n.)

A. Reybekiel.

LITERATURA I SZTUKA

Jerzy Żuławski.

Do mniej znanych w popularnej gwarze naszego, jakoby jeszcze wczoraj rozestetyzowanego, ogółu należy Jerzy Żułowski. Nie jest to trudnem do zrozumienia. Jego twórczość łatwo tłomaczy ten fakt. Poeta posiada te pierwiastki, które nie wywołują szybkiego wybuchu entuzyazmu, nie palą, nie pieką nieznaną błyskawicą, lecz są ciche, chłodne, jak obłok zdala przesuwający się po niebie i niezwracający na siebie uwagi zagadanych przechodniów...

W swoim czasie napisał Żuławski rzecz pod tytułem: „O teoryi nagiej duszy”, gdzie systematyzuje poglądy wybuchowo rzucone przez Przybyszewskiego. Kładzie on tam nacisk na stosunek syntezy do analizy, jako przeciwstawienie twórczości do nauki. Synteza intuicyjnie obejmuje głębie ducha, oddaje treść wszechświata. Na tem twierdzeniu Żuławski oparł swoje credo. Sądzę, że różnica między syntezą a analizą, to tylko różnica metod myślowych, lecz nie wyodrębnienie zmysłów objawieniowej twórczości od abstrakcyjnego, bezcielesnego procesu myślowego.

Szczególnie blizkimi teoryi poety są pierwsze jego utwory. Dopiero z czasem wczuł się on w cielesność, porzucił grunt pojęć abstrakcyjnych i począł — marzyć. Ślady swoje ta mózgowość pozostawiła jednak na każdem jego słowie. Refleksyjność powoduje w nim powściąganie pierwszego impetu, chłód błyskawicowego pędu natchnienia. Dostęp do jaźni poety dla wszystkich dzwięków prowadzi przez długie korytarze o ciasnych, kamiennych ścianach. Od czasu tylko do czasu arkady dopuszczają światło i tchnienie wiosny. Więziona w celi samotnej na ich końcu myśl pustelnica, rwała się do życia, do światła, do upojenia. Zimno i mroźno jej było wśród głazów! Zakratowane okienko rzucało szare, stalowo jednostajne światło. I przełamała tęsknota opór, wybiła drzwi dębowe — i szła samotnie przez owe długie korytarze, aż napotkała arkadę, otwierającą widok na pola okoliczne, poczęła pić wtedy świeżość, woń i światło, poczęła czuć upojenie, rozkosz i — życie.

Żułaski siłą talentu przełamał skłonność do abstrakcyjnego ujmowania swojej treści duchowej i przeszedł do intuicyjnej twórczości, pisząc „Na srebrnym globie”, "Eros i Psyche”. Jego poezyę cechuje pewien brak wszelkiej bezpośredniości. Jego twórczość jest powściągliwa, chłodna i cicha. Pierwsze rzeczy Żuławskiego raziły brakiem zmysłowej jednolitości myśli i słowa. Myśl i słowo nie są w nich stopione gorącym oddechem, nie są przekute na jedną całość, jest to mowa dobierana i wybierana. A później... subtelne, srebrzyste nici poczęły promieniować z pomysłów poety, poczęły osnuwać cieleśnie martwe dotąd wizye tkaniną przezroczystą, owijającą niewidzialne dotąd postaci. Tęsknota poety do piękna, do wyzwolenia z pęt refleksyi wyłoniła z mgławicy myśli — Psyche, okoloną tchnieniem kwiatów, liści, trawy, osłoniętą w mgły westchnienia, osrebrzoną nicią melodyi duszy...

Na tem tle odbija się odrębnie panteizm

poety.—Powstały, jako rezultat abstrakcyjnego procesu myślowego, dążącego do ujęcia wszechrzeczy w jeden system, nie był on pozbawiony owego niewidzialnego echa tęsknoty ducha do jedności. Pomimo chłodnych słów, uczonych cytat i rozmyślań, tkwiła w niem przyćmiona monotonią, bezbarwnem światłem abstrakcyi—iskra uczuciowa. Nie jest to uczucie Juljusza, kładącego ręce na gwiazdach i oddychającego oddechem wszechświata. Nie... panteizm Żuławskiego, to wzrastający niepokój oderwanej od całości cząstki, niepokój osamotnienia i budząca się tęsknota za jednością, za wszechistnieniem. Z czasem tło abstrakcyi poczęło się cofać, a uczucie tęsknoty przyjmować formę, rozbrzmiewać pieśnią bez słów. Panteizm Żuławskiego to system Spinozy, przetkany na dźwięki drżących strun harfy, wydający szmer tęskny, tkliwy, powściągliwy. To jest przyczyną pewnego chłodu jego poezyji. Ten chłód to wpływ zimnych, kamiennych korytarzy myśli; treść jego ducha to przykryta zasloną postać, patrząca w jednę stronę i siłą wyrazu spojrzenia budząca cześć i podziw. Spojrzenie to dziwny ma wyraz. Nie płonie w niem żądza, żar, pożądanie, nie błyszczy łza, tylko bieży w dal tęsknota, utkana z mgły i sennych marzeń. Treść jego ducha to naziemska postać, łącząca muzykę z zatracającą się barwą i linią. Melodya jej dźwięczy nieco może monotonnie, lecz czysto, przejmująco i nieraz boleściwie.

Istotę twórczości Żuławskiego możemy sobie uprzytomnić czytając poemat „Na srebrnym globie". Jest on wyłącznie myślowy, pomysł to mózgu, znającego wędrówki dalekie i szukającego nowej treści. Mógł on powstać tylko w umyśle wyszkolonym przez długą cywilizacyę, wygimnastykowanym przez studya naukowe i samotne rozmyślania. Przyjął on formę artystyczną. Forma ta nie jest tu ozdobą architektoniczną lub pięknie i trafnie dobraną alegoryą, lecz ciałem nierozerwalnie z myślą połączonem. Forma ta posiada jedność z tem, co zwykle a kłamliwie nazywają treścią. Opowieść „Na srebrnym globie" to poemat artystyczny; wrażenie wywiera tu nie pomysł, a obrazy, dźwięki — jednem słowem dzieło sztuki. Nie są to huragany uczucia, lecz jakieś skamieniałe okropności, budzące podziw i przestrach. Zwyczajne, proste wyrazy wywołują efekt grozy. Niektóre ustępy szczególniej w drugiej połowie, przejmują rzewnem wzruszeniem niespotykanem dotąd u poety.

Z tych czynników kształtuje się istota piękna twórczości Żuławskiego. Poezya jest to roślina cieplarniana, rosnąca pod wpływem usilnej, troskliwej opieki, zdala od łąk, pól i lasów; łodyga jej jest wiotka, a kwiat o płatkach drżących i przezroczystych. Patrząc na nią, lękać się należy, aby nią urazić jej żywszym oddechem, nie spalić gorętszem spojrzeniem. W wysubtelnieniu swojem zatraca wątła roślina kontury wyrazistsze, wszelki silniejszy zarys i rozpływa się w mgle lekkiej, prawie bezcielesnej. Płatki jej kwiatu to ręce przezroczyste naziemskiej kochanki, to muzycznie działające linie.

Istota obrazowania Żuławskiego opiera się na tym psychicznym momencie, kiedy wrażenie wzrokowe przechodzi w muzyczność, w akord dźwiękowy, zatracając swój wyraz plastyczny. Wypowiada się ona w delikatnie cieniowanej stylizacyi. Poeta nie rwie namiętnie, impulsywnie duszy swej w kawały, gorączkowo malując obrazy, oddające bezpośrednio potęgę twórczą, lecz stylizuje każdy kwiat, każdy liść brany z bogatej treści duszy swojej, nastraja go do pewnego tonu, ukazując z po za przezroczystej zasłony. Wszelki głos dochodzi do nas tłumiony przez mgłę, ledwie widzialną. Jego postaci — to raczej wizye o smukłych liniach, niż kształty barwy i plastyki. Przypominają one dziewice anielskie prerafelitów—smukłe, ciche napół w tem, napół w innem pogrążone istnieniu; przypominają te dziewice smętne, skomplikowane w swej prostocie, swem niedoścignionem niedomówieniu.

Nastrój ten obcy jest pierwszym utworom Żuławskiego. Panuje tam przeważnie zimny patos i robota martwa. Poemat „Lotos" stanowi przełom a „Eros i Psyche" rozkwit tej melodyi. W tej pieśni o miłości ku zaświatom niektóre ustępy pełne są uroku uczucia świeżego, czystego, promiennego. Dekoracye, słowa, jasność płynąca z jednych i drugich—wszystko to składa się na obraz, tchnący tajemniczemi melodyami duszy. Sceny I, II, klasztorna i ostatnia są niezwykle wytrzymane, pociągają subtelnością. Scena w klasztorze, kiedy za murem śpiewa swe wołanie błędny rycerz, a zamknięta w mroźnym ponurym gmachu samotnica zrywa się do życia, do słońca—jest wielkim trumfem poety.

Piękno tych utworów przyrównać można do czaru, jaki wywiera drżąca kropla rosy da płatku róży. Zaświatowa, przezroczysta ich czystość przejmuje serce dziwnem uczuciem roztkliwienia i radości cichej, pogodnej.

Cała jaźń duchowa Żuławskiego streszcza się w jednym słowie: Psyche; Psyche —ta nieuchwytna bezcielesna kochanka wędrująca ku Miłości i Zaświatom; Psyche — tęskna melodya nieśmiertelności. Sunie jej postać po falach Gangesu, jako czarodziejski kwiat Lotosu. A on — człowiek, dziecię ziemi, wyciąga do niej ręce i tęskni, łaknie, błaga zmiłowania. Ona składa cichy pocałunek na czole spragnionego i odpływa—zadumana, nieodgadnięta. Tego, który ją ujrzał, dławi tęsknica, żal i ból, lecz piękno jej, czar, jaki wywiera, jest tak olbrzymi, że on „z progu mąk" woła do niej: „o Duszo życia, jasny świata kwiecie! iżem cię ujrzał i poznał na jawie, choć ból mię za to nieśmiertelny gniecie... żegnam Cię i błogosławię..."

Postać Psyche, narodzonej w chwili entuzyazmu, kiedy człowiek po wyjściu z puszczy, w której w mroku i walce pędził swe życie, ujrzawszy światłość zawołał w upojeniu: „o słońce, jesteś, jesteś, jesteś piękne", postać ta oczarowała poetę i powiodła go na wędrówkę przez wąwozy, doliny, kędy szumią drzewa, nucą ptaki, a cała przyroda śni o życiu, o dali, o bezkresach. I oto: „wiecznie tęskniącej, arkadyjskiej królewnie-wygnańce, z pęt gorzkich dnia dzisiejszego ku jutru zrywającej się, ku jutru jasnemu ostatniem zwycięstwem Miłości i śmierci" — wyśpiewał on pieśń subtelną, rzucającą urok słodki i przeczysty...

Niegdyś, przed laty Psyche ujrzała świat w zakątku uroczym, cichym i świetlanym. Rosła wśród łąk o pachnących kwiatach, wśród jasnej pogodnej radości. A w duszy swej czuła pewną ukrytą iskierkę, która jej nieraz płoszyła rozbawienie i błogość. Nieraz przesuwały się przed jej oczyma sny o jakiejś oddalonej krainie, która jej była blizka, choć nieznana. Razu pewnego, wśród gier i zabawy, smutek przysłonił jej lica, siadła nad brzegiem cichego strumienia, wpatrując się w bieg fal, szukała zapomnienia. „Słońce, gasnące na niebie, dziwnie rozmarza. Każdy liść na drzewie pieśń przedziwną śpiewa, hymn uroczysty jakiś na przybycie wieczornych, świętych, tajemniczych godzin". I czuje Psyche, że niepokój pierś jej rozrywa, lecz pewność tłumi wszelką żałość. On zejść musi do niej. Tęsknota płynie pod stopy niebios, i woła: „zejdź o boski kochanku, o słońce, zejdź do duszy cierpiącej w osamotnieniu i czekaniu". Przed rozmarzonemi oczyma przesuwają się jakieś złote gaje i zawieszone na głazach ruczaje, morza ogromne, niebosiężne szczyty i w zórz uśmiechach rozlśnione błękity". On przyjść musi—przyjdzie w najsłodszą godzinę i po imieniu zawoła: „Psyche". A wtedy skał ściany otworzą swe bramy, i pójdę — On i Ona przez jasne polany, przez czarodziejskie niwy, łąki, lasy,—„w kraj jakiś dziwny, szeroki, szczęśliwy,—w chmury, — nad chmury i w błękit, w niebiosa".

Niepokój rośnie, przeczucie potężnieje. Królewna słyszy, jak pod stopą drżą kwiaty, jak fale powietrzne ślą nam powitalne szmery, jak się do niej radośnie uśmiecha błękit nieba, zieleń trawy. Czeka i woła: „Jestem, jak strumień, jak to drżące drzewo, harfą jedynie, co pieśń wieczną śpiewa! Czekam posłuszna, pod twą dłoń ugięta: przybywaj panie i połóż swe dłonie na strunach, które napięte w mym łonie zdawien czekają, byś je zmienił w dźwięki jednem dotknięciem czarodziejskiej ręki; niczem bez ciebie jestem, cichym listkiem na drzewie świata, z tobą będę wszystkiem". Oczy jej dojrzały, twarz w ekstazie nabierała kryształowej jasności i oto — na ustach stęsknionych składa pocałunek — On — Eros. Było to tylko muśnięcie. Psyche poznała czar i potęgę boga, i tęsknota jej znalazła swoją treść. Aby połączyć się z nim, aby zatracić swoje samotnictwo, musi królewna przejść przez—całe życie. On umacniać ją będzie jako pieśń niewidzialna, darząca nadzieją i przypomnieniem—wszechmiłości. Psyche ujrzała boga i tchnął on w nią istnienie nieśmiertelne, tęsknotę przeczuwającą przemienił w trwały płomień tęsknoty do Miłości. Musi przejść królewna przez życie i wszędzie napotkać mękę i prześladowanie. Drogę jej zagrodzi ciężkość bryły kamiennej, bezduszna opasła forma, koszląca wszelką czystość i wszelką prawdę.

I poszła Psyche z cichem westchnieniem na ustach: o słońce! Szła przez szlaki dziejowe, męczona, tęskniąca, rozełkana, szła z oczyma wpatrzonemi w dal, szła jako cichy powiew nieznanego tchnienia z za światów. Jako wędrowna śpiewaczka tęskniła za pieśnią, jako samotnica klasztorna—za życiem, jako księżna udzielna za pięknem, jako dziewczyna z ludu—za prawdą. Deptano ją, dręczono. Gnuśność hardziała, tamowała chód wygnance, kalała świat brudem bezmyślnego rozpasania. Aż Psyche została niewolnicą Blaksa. Lecz jeden okrzyk i świat cały stanął u stóp uwięzionej królewny z błaganiem o pomoc, o ratunek. Wtedy poczuła w sobie moc i utopiła ostrze sztyletu w piersi swego wroga — ściany więzienia rozstąpiły się. Zjawił się On — Eros — Miłość i Jedność i mówił do niej: „iżeś wszystek zniosła ból i trud, a iż cię ziemi nie pokalał brud, chociaż się czepiał twych pielgrzymich szat— prawdą się iści twa wieczna tęsknota". I mówił do niej: „Tak! jam jest Eros, iżem nad otchłanie chaosu rękę ściągnąwszy, z bezruchu wywołał drgnienie i zakląwszy w duchu, wywiódł zeń wszechświat stubarwny i złoty, iżem jest rodzic żądzy i tęsknoty, która w głąb bije, lub w strop niebios modry, ofiarnik życia, bólu dawca szczodry, lecz iż jest we mnie jako był początek i koniec wszystkim rzeczom, których wątek w pierścień się splata, — zapomnienie wieczne i ukojenie tęsknot ostateczne i szczęście wielkie, nieprześnione cichę,-zowie się także: Thanatos, o Psyche!"

Zbigniew Brodzki.

SPRAWY EKONOMICZNE

Kwestya rolna.

Nie od dzisiaj słyszymy, że stan rolnictwa naszego jest rozpaczliwy. Zadłużenie większej własności rolnej przeszło granice możliwości, sięgając przeciętnia 80%, a czasami przenosząc dwukrotnie i więcej jej szacunek hypoteczny.[1])

Położenie własności drobnej jest o tyle gorszem, że nie mogąc, wskutek ograniczeń, korzystać z pomocy Towarzystwa kredyt. Ziemskiego, ucieka się ona częściej do kredytu lichwiarskiego. Kredyt ten, wogóle ciężki, tem silniej daje się we znaki włościaninowi: nie mając wyboru między ofiarodawcami, zmuszonym jest przyjmować usługi tego, który mieszka najbliżej, którego zna i któremu sam jest znany.

Słabiej rozwinięty umysłowo, daje się wyzyskiwać nietylko lichwiarzom, lecz i osobnikom pośredniczącym w kredycie, a co za tem idzie, lwią część swojej krwawej pracy obraca na nieprodukcyjną opłatę lichwiarskich procentów i pośrednictwa w zdobywaniu środków dla swego powolnego konania. Zamożność naszego włościanina coraz bardziej przechodzi do tradycyi.

Uwłaszczenie 1864 r. dało mu warsztat do pracy, dało swobodę ruchów, ale nie zapewniło mu przyszłości.

Nadane działki, czy działy, umocniły byt rodziny włościańkiej w chwili uwłaszczenia, nie zabezpieczyły go jej potomkom; już następne pokolenie, dzieląc nadaną kolonię między kilku członków, z jednej strony pozbywa się warsztatu o tej sile, jaka mogłaby zapewnić byt przyszłych rodzin, z drugiej nie otrzymuje mieszkania i narzędzi potrzebnych do uprawy nawet tej mniejszej działki, którą w spadku odbiera.

Pierwsza przyczyna wywołuje ogólne zbiednienie rodziny, druga pcha jej członków w objęcia kredytu lichwiarskiego.

Kredyt małorolnych sukcessorów, po zaspokojeniu pierwszych potrzeb koniecznych dla zaprowadzenia inwentarzy i zbudowania chaty, wyczerpuje się prędko. W normalnym biegu rzeczy, synowie zamożnego kolonisty, który zostawia ziemię bez długu, ale i bez kapitału, w pierwszych początkach swej samodzielnej pracy znajdują się w warunkach uniemożliwiających tę pracę.

O podniesieniu kultury, która jakością i ilością wyprodukowanego ziarna wyrównałaby wartość zmniejszonej działki, małorolny nie może marzyć z powodu obdłużenia i wyczerpaniu kredytu.

W tem trudnem położeniu instynkt samozachowawczy naszego włościanina podszepnął mu środek ratunku w postaci prawa niepodzielnego dziedziczenia, zdobycia kapitału bezprocentowego i pracy w przemyśle. Z bardzo nielicznymi wyjątkami właściciele osad przekazują je w całości jednemu z synów lub zięciów. Dziedziczący otrzymuje kolonię, budynki i inwentarze; jako dodatek *in minus*: obowiązek spłacenia rodzeństwa. Ponieważ państwo nie przychodzi z pomocą w tem trudnem dla niego położeniu i kapitału na spłatę na możliwych warunkach, w odpowiednich instytucyach kredytowych otrzymać nie może, szuka go w bogatym ożenku; posagiem otrzymanym wypłaca pozostałe schedy. Wyzuci w ten sposób z ziemi bracia rzucają się do przemysłu, wędrują w obce kraje na zarobki. Część ich zdobywa kapitał i wraca aby nabyć ziemię, część zostaje na obczyźnie. Siostry, o ile nie wyjdą zamąż, idą na służbę do miasta.

Ponieważ jednak w obecnym, ciężkim dla rolnictwa stanie bogate partye zdarzają się coraz rzadziej, coraz częściej przeto praktykuje się inny sposób zdobywania kapitału w celu spłaty rodzeństwa. Nowy dziedzic emigruje do Ameryki lub Anglii w celu zebrania potrzebnego funduszu, odziedziczoną kolonię pozostawia w ręku ojca lub brata. Wielu wraca z zebranym kapitałem, ale znaczna część przysyła plenipotencyę do sprzedaży dziedzictwa.

Tego rodzaju kombinacye zaspokajają na razie potrzeby danego włościanina, odbijają się jednak niekorzystnie na ekonomicznym i moralnym stanie ogółu włościan.

Prawo niepodzielnego dziedziczenia, jest źródłem tysięcy procesów, wszczynanych przez wydziedziczone rodzeństwo pod wpływem poczucia krzywdy.

Nie przesadzę, jeżeli powiem, że 75% włościańskich sporów sądowych jest następstwem tego zwyczaju nieuświęconego przez prawo.

Małżeństwa, zawierane jedynie w celach materyalnych, demoralizują ludność; emigracya bezrolnych pozbawia kraj najenergiczniejszych, najzdrowszych i najsilniejszych jednostek.

Rozwiązanie tej kwestyi na drodze prawodawczej stanowi jedno z największych zadań przyszłości.

Każdy rozumie, że stan obecny długo przeciągać się nie może. Kraj z taką jak nasz gęstością zaludnienia, kraj nieposiadający pustyń i niezamieszkanych obszarów, niemogący nawet marzyć o zdobywaniu kolonij, musi rachować się z tą koniecznością, że przyjdzie chwila, kiedy drobna wlaność, reprezentowana przez dzisiejszy stan włościański, upadnie zupełnie wskutek rozdrobnienia się i wyjałowienia gruntów przy dzisiejszym sposobie gospodarowania.

II.

Ludność bezrolna rośnie u nas z przerażającą szybkością; kiedy po reformie 1864 roku bezrolnych liczono 200,00 dziś jest ich przeszło 1,200,00; jeżeli dodamy do tego około miliona małorolnych t. j. posiadających mniej, niż 6 morgów gruntu na rodzinę, otrzymamy sumę przeszło 2 milionów włościan, którym ziemia nie zapewnia wystarczającej egzystencyi, co wynosi przeszło 37% ogólnej liczby ludności włościańskiej w Królestwie. Dziś już więc należy przewidywać chwilę, kiedy kwestya agrarna stanie się u nas palącą, kiedy nędza i głód zmuszą cichego i spokojnego mieszkańca wsi upomnieć się o środki do życia dla siebie. Zaspokojenie tych żądań z przyczyn wyżej wskazanych trudniejszem będzie u nas, niż w innych krajach. Już dzisiaj emigrantów naszych przyjmują coraz niechętniej, starając się wszelkimi sposobami ograniczyć ich liczbę, a spodziewać się należy, że z każdym rokiem ograniczenia te będą się wzmagać.

Trudno przypuszczać, żeby przemysł i rzemiosła dostarczyły całej masie włościańskiej sposobu i środków do życia. Przemysł wielki, który w ostatniem trzydziestoleciu rozwijał się u nas bardzo szybko, w najlepszych swych chwilach zatrudniał niewiele więcej nad 300,000 robotników; rzemiosła 121 do 126 tysięcy w całym kraju; robotników folwarcznych liczono 369,000. Jasnem jest w obec tego, że zadanie, które staje przed nami, da się rozwiązać jedynie za pomocą powiększenia obszaru ziemi włościańskiej. Aby ten obszar powiększyć, nie trzeba uciekać się ani do gwałtów, ani do wywłaszczenia na mocy specyalnego prawa. Już w obecnej chwili znaczna część majątków większych i średnich, potrzebuje likwidacyi, rok rocznie spora ich liczba przechodzi w obce ręce drogą sprzedaży przymusowej. Bank włościański udziela wprawdzie pożyczek włościanom na kupno gruntu, ale operacye tego banku są tak żmudne, warunki spłaty tak uciążliwe, że działalność jego nie zaspokoi potrzeb rosnącej coraz szybciej ludności włościańskiej. Prawda, że przez cały czas swego istnienia t. j. od 1888 roku, bank włościański udzielił 34,798,888 rubli pożyczki na kupno 350,651 dziesięcin, wobec 139,961,155 rubli, udzielonych przez Tow. Kredytowe Ziemskie na 3,484,083 dziesięciny ziemi stowarzyszonych, ale kredyt bankowy jest ciężkim dla włościanina ze względu na samą taksę. Bank w porównaniu z Tow. kredytowem ziemskiem wydaje na dziesięcinę więcej, niż to ostatnie: w gub. Warszawskiej 53 ruble, w Kieleckiej 95, w Radomskiej 110 rubli, czyli 1¼, 2 i 3 razy więcej niż Tow. kredytowe. Jeżeli zatem właścicielowi większej własności trudno w dzisiejszych czasach opłacać raty Towarzystwa od długu trzy razy mniejszego na dziesięcinie, to cóż mówić o włościanimie, który jest w gorszych warunkach pod względem wydajności gleby, przy jej słabszej kulturze.

Pożyczka bankowa nie rozwiązuje wreszcie kwestyi zaopatrzenia nabywcy w fundusz niezbędny do zagospodarowania—przeciwnie, dając mu $^9/_{10}$ kapitału potrzebnego na kupno ziemi, wymaga jeszcze posiadania części własnej na dopłatę do tego kupna.

Potrzebom ludności włościańskiej mógłby zadosyć uczynić tylko specyalny bank kolonizacyjny, którego zadaniem byłoby nabywanie gruntów własności większej, kwalifikującej się do sprzedaży i odprzedawanie ich włościanom na warunkach uwzględniających ich rzeczywiste potrzeby.

W związku z tym bankiem powinna istnieć instytucya kredytowa, którąby dbała o potrzeby nowonabywcy, zaopatrując go w odpowiedni kapitał na zagospodarowanie i podniesienie kultury w nowonabytem gospodarstwie. To ostatnie zaś będzie wymagało urządzenia wzorowych ferm ze stacyami doświadczalnemi, stacyami repreduktorów, szkółkami ogrodniczemi. Następnie dla podniesienia dobrobytu przyszłego włościanina niezbędne są szkoły rolnicze, wędrowni agronomowie, ogrodnicy i zootechnicy. Postawienie w podobnych warunkach małych gospodarstw rolnych, wpłynie na ulepszenie sposobu gospodarowania i zastąpi brak ziemi, podnosząc w dwójnasób albo i więcej jej wartość produkcyjną.

Niebezpieczeństwo zbytecznego rozdrabniania może być zażegnanym, przez wydanie prawa o niepodzielnem dziedziczeniu, na wzór takiegoż prawa, wydanego w 1898 roku w Westfalii. Podług zasad tego prawa, członek rodziny, otrzymujący ziemię w posiadanie, otrzymuje większą schedę w porównaniu z resztą rodzeństwa: Dodatek (Voraus) na potrzeby zagospodarowania.

Instytucya kredytowa udzieli mu funduszu na zagospodarowanie i spłatę rodzeństwa, które przy pomocy banku kolonizacyjnego, będzie mogło w miarę chęci i uzdolnień nabywać nowe grunta.—Tego rodzaju kombinacya może zabezpieczyć losy włościan na długie lata, dostarczy im ziemi i pomnoży jej przestrzeń przez podwyższenie produkcyjności.*)

St. Staniszewski.

[1]) Koszutski. Rozw. Ekonom. Król. Polsk.

*) Zalecana przez sz. autora operacya musiałaby pokonać jedną ważną przeszkodę, mianowicie: włościanin przy obecnej swej kulturze nie wyciągnie z ziemi tyle, ile by musiał płacić na pokrycie procentów i umorzenia pożyczki, czyli że brakująca reszta powiększałaby jego dług a w końcu wyzułaby go z posiadania. Czy można zaś liczyć na bank kolonizacyjny i towarzystwo kredytowe z podkładem filantropijnym?

Red.

POGROM.

Dnia 24 maja, nad wieczorem dzielnica Warszawy od ul. Marszałkowskiej do Przyokopowej była widownią niezwykłych wydarzeń.

Gromada ludzi uzbrojonych w kije, noże i rewolwery napadała i gromiła w straszny sposób znanych w mieście alfonsów i sutenerów, rozbijając, niszcząc lupanary i miejsca schadzek wszelkich podejrzanych osobistości: złodziejów, paserów, prostytutek. Napadnięci w wielu miejscach stawiali opór, polała się więc krew, padły trupy.

Napady wynikły z pobudki moralnej. Żydzi, wsród których prostytucya i handel dziewczętami największe czynił spustoszenia, próbowali nakłonić sutenerów i alfonsów do zajęcia się pracą; gdy te usiłowania spełzły na niczem, żydzi-robotnicy postanowili rozprawić się bezwzględnie z sutenerami. Na rogu ulicy Siennej i Zielnej gromada ich wtargnęła do kawiarni, zwykłego miejsca schadzek „alfonsów" i rozgromiwszy zebranych, za uciekającymi puściła się w pogoń. Napadający, podzieliwszy się na kilka oddziałów, zaczęli wyszukiwać i gromić ich po wszystkich kryjówkach, kawiarniach, wkraczając do domów publicznych, skąd wyganiali prostytutki a wszystkie sprzęty wyrzucali przez okna i niszczyli doszczętnie.

Tego dnia Pogotowie opatrzyło 24 mężczyzn; kilku ciężko ranionych zmarło wskutek ran.

Na drugi dzień około 12-ej w południe tłum, złożony z 400 ludzi, otoczył dom na rogu Zielnej i Świętokrzyskiej, w którym mieścił się lupanar. Część wtargnęła do wnątrza, porozbijała sprzęty, popruła pierzyny, a ze znajdujących się tam kobiet pozdzierała ubranie. Inny tłum z 200 ludzi, uzbrojonych w rewolwery, drągi i noże rozbił dom publiczny na ul. Próżnej, wyrzuciwszy przez okna pościel, obrazy i sprzęty. Tego rodzaju sceny powtórzyły się w wielu punktach miasta. Sutenerów wszędzie ścigano bez miłosierdzia, bijąc kijami, nożami zadając rany a nawet śmierć. Gdzie tylko znajdował się lupanar, wszędzie został zniszczony. Nie darowano nawet pojedyńczo mieszkającym prostytutkom, nie zapomniano o żadnej ulicy, o której wiedziano, że dom publiczny znajduje się przy niej, czy to biedny, czy najwykwintniej urządzony. Tłum działał z całą systematycznością. Oczyściwszy jedną dzielnicę, przenosił się do drugiej, z ulicy na ulicę, z domu do domu, z mieszkania do mieszkania. W ten sposób około godziny 6-ej wieczorem znalazł się na Żórawiej gdzie rozbił pięć lupanarów, na Chmielnej także pięć, na Nowogrodzkiej trzy. Około północy jeszcze był czynny w ulicach Mokotowskiej, Chopina, Pięknej, na Sadowej.

Początkowo, zdaje się, nie zamierzał on bić ludzi, starał się tylko niszczyć i burzyć to, co stanowi komfort lupanarów. Rozwścieklił go jednak opór i obelgi. Dnia tego Pogotowie ratunkowe opatrzyło sześćdziesiąt ofiar pogromu—alfonsów, sutenerów i prostytutek, które się opierały.

Nie obyło się jednak bez krzywdy niewinnych: postrzelono urzędnika kolei, który w chwili napadu przechodził przypadkowo ulicą, raniono kijem innego przechodnia i t. d. Tłum w zapalczywości wdzierał się nawet do mieszkań prywatnych, do redakcyi, lecz spostrzegłszy omyłkę, cofał się zaraz.

W lupanarach postępował z zaciekłością. Leciały przez okna stoły, łóżka, szafy, lustra, nawet fortepiany, nawet suknie i doniczki z kwiatami; znajdywane pieniądze ostencyjnie darto, wrzucano do rynsztoków lub do ustępów. Przyczem pilnowano surowo, aby nikt z obecnych nie przywłaszczył sobie czegokolwiek. Złodziei, usiłujących kraść, bito niemiłosiernie.

W ciągu środy i czwartku, zniszczono 73 lupanary.

W piątek sceny niszczenia mieszkań, ścigania prostytutek i sutenerów działy się w dalszym ciągu. W dniu tym jednak tłum złożony z chrześcian był czynniejszym, niż żydzi. Teraz do tego tłumu przyłączył się duży procent szumowin: złodziejów, bezmyślnych wyrostków, którzy działali więcej prawdopodobnie dla samej rozkoszy niszczenia, niż dla tych pobudek moralnych, jakie rządziły pogromcami dni poprzednich. Pojawiła się więc grabież rzeczy niszczonych, widzieliśmy nieuzasadnione napaści na mieszkania kobiet samotnych—jednem słowem ruch, który w początkach miał charakter reakcyi przeciwko bezkarnie panoszącej się i wszędzie wciskającej się zgniliźnie, zaczął schodzić na manowce.

I teraz dopiero władza, która dotąd zachowywała się całkiem biernie wobec pogromców, jęła się środków uśmierzających. Na ulicach miasta wystąpiło licznie wojsko, któremu generał-gubernator poruczył uspokojenie wzburzenia. Zaczęły się aresztowania, zamykania ulic kordonami wojskowymi, otaczanie domów żołnierzami i bezustanne przechody patroli po mieście.

W sobotę miasto wróciło do zwykłego trybu życia: który dni następnych nie został niczem zakłócony. Jednakowoż w dalszych dzielnicach Warszawy nie ustaje polowanie na sutenerów.

Jako charakterystyczny objaw samopomocy i bezpośredni rezultat wypadków, *Kuryer Warsz.* zamieścił następującą informacyę:

„W związku z ostatnimi wypadkami w Warszawie dowiadujemy się, że w kołach robotniczych warszawskich z inicyatywy jednej z grup działających, powzięto szlachetny zamiar przygarnięcia upadłych kobiet, w celu wydobycia tych nieszczęśliwych z przepaści upadku i zależności od ohydnego otoczenia. Pragnące więc wstąpić na drogę poprawy będą przyjmowane przez uczciwe rodziny robotnicze, ażeby ulegając dobremu wpływowi, wziąć się zarazem do pracy. Grupa wzmiankowana, do czasu znalezienia każdej kandydatce odpowiedniej pracy, zobowiązała się płacić na jej utrzymanie poszczególnej rodzinie robotniczej rb. 10 miesięcznie. Fundusze na ten cel wpływać mają z kół prywatnych, dobroczynnych".

KRONIKA

Wiadomości społeczne. W Łodzi bezrobocia nie schodzą z porządku dziennego. Ogółem zastrejkowało 35,000 robotników. W fabryce Wewera 496 robotników i robotnic przystąpiło do bezrobocia, przez 48 go dzin nie opuszczając fabryki i morząc się głodem.

— Rada zjazdów górniczych Królestwa Polskiego przedstawiła ministeryum rolnictwa swoje uwagi w sprawie obowiązującego dziś prawa o przedwczesnem porzucaniu robót i strajkach. Rada przyszła do wniosku, że obecne prawo zawiera dużo sprzeczności, wskutek czego wymaga gruntownej zmiany.

— Wydział karny warszawskiego sądu okręgowego będzie wkrótce rozpatrywał sprawę starszego dozorcy rewirowego Jana Pietkiewicza i trzech stójkowych, oskarżonych o znęcanie się nad aresztowanymi.

— Wybory przedstawicieli narodowych mają być dokonane, jak donoszą z Petersburga, na zasadach stanowości i cenzusu majątkowego. Ilość przedstawicieli określono na 300.

— „Nowosti" piszą, że w Petersburgu oczekiwane jest przybycie deputacyi polskiej z Warszawy, która ma czynić starania o przeprowadzenie śledztwa w sprawie zajść 1 maja i o darowanie kar księżom, ukaranym w drodze administracyjnej przed 17 (30) kwiet.

— Nowa ustawa paszportowa ma być wprowadzona od Nowego Roku. Na przyszłość paszporty będą konieczne tylko w stolicach i większych miastach gubernialnych.

— Niedawno odbył się w Moskwie zjazd delegatek związku równouprawnienia kobiet.

— Gazety rosyjskie donoszą, że zebranie przedstawicieli ludu ma być zwołane najpóźniej 1 (14) grudnia; wybory odbędą się w listopadzie.

— Nordau, któremu zaproponowano objęcie przewodnictwa nad syonistami po Herzlu, nie zgodził się. Na jego życzenie, radę wybrano trzech na to stanowisko: Nordaua, Warburga z Berlina i Wolfsohna z Kolonii. Projekt Ugandy postanowiono odrzucić.

Wiadomości urzędowe. Z Petersburga donoszą, że urzędników, wysłanych przez ministeryum w celu zbadania przyczyn pogromów przeciw izraelitom, upoważniono do wykrycia, kto właściwie namawia do pogromu. Jednocześnie donoszą, że komitet ministrów, rozpatrując sprawy szkolne różnych narodowości, wyłączył z programu swych prac sprawę chederów, ponieważ sprawy żydowskie przejdą do osobnej komisyi.

Sprawy szkolne. Władza uniwersytecka otrzymała rozporządzenie wypłacenia stypendyów na wszystkich kursach i za cały rok. Wpisy za drugie półrocze będą zwrócone z powodu przerwania wykładów, lub na żądanie przeniesione na następne półrocze.

— Ministerym oświaty w celu zbadania, o ile szkoły techniczne i przemysłowe odpowiadają potrzebom praktycznym przemysłu, zażądało od kuratora okręgu naukowego szczegółowych danych o losach wychowańców tych szkół po ich ukończeniu.

— Ministeryum wojny z powodu braku oficerów rezerwy, nie zgodziło się zwolnić nauczycieli szkół technicznych i rzemieślniczych od służby wojskowej.

— Według doniesienia „Słowa" petersb. w szkolnictwie na kresach zajdą poważne zmiany. Niektóre przedmioty mają być wykładane w języku ojczystym uczniów. W każdej miejscowości z odrębną ludnośc mają też powstać osobne seminarya nauczycielskie.

— Z powodu reformy ministeryum rolnictwa, wyższe zakłady naukowe, które dotychczas były w zawiadywaniu tegoż ministeryum, mają czasowo przejść pod zarząd ministeryum finansów, zanim nastąpi zjednoczenie wszystkich wyższych zakładów naukowych w jednem ministeryum.

Hygiena i zdrowie. Ministerym oświaty zamierza zebrać statystyczne dane, dotyczące chorób nerwowych wśród wychowańców szkół średnich.

— Grupa właścicieli ziemskich z pow. opatowskiego postanowiła urządzić w Ożarowie sanatoryam na 10 łóżek dla chorych i rannych Polaków, ewakuowanych ze szpitali Dalekiego Wschodu. Część obywateli ziem. w gub. Radomskiej wyraziła gotowość, zamiast przyjęcia rannych, złożenia ofiary pieniężnej na ten cel.

— Warszawska inteligencya żydowska postanowiła również zaopiekować się powracającymi z Dalekiego Wschodu rannymi współwyznawcami. W tym celu mają być zebrane fundusze, za które będzie wynajętych kilka will w zdrowej miejscowości dla 50 rekonwalescentów.

Sztuka. W jesieni w Petersburgu, według doniesienia „War. Dn.", ma być zorganizowaną olbrzymia wystawa robót wszystkich szkół profesyonalnych, artystyczno-przemysłowych w Cesarstwie.

Wiadomości ekonomiczne. Ministerym poleciło zarządom nakazać leśniczym, aby udzielali pozwolenia na pasanie bydła włościańskiego we wszystkich leśnictwach, gdzie to będzie możliwe bez szkody dla młodych lasów i gdzie miejscowa ludność potrzebuje tych pastwisk. W tych zaś leśnictwach, gdzie pasanie bydła nie może być dopuszczone, ministeryum poleca pozwolić włościanom na zbieranie trawy i w tym celu obniżyć cenę za zbiór. Niezależnie od tego ministeryum poleciło zezwalać na bezpłatne zbieranie grzybów, jagód, chmielu i t. p.

— Z komor Rosyi europejskiej wpłynęło w 1904 r. przeszło 182 milionów opłat celnych, o 2 mil. mniej, niż w 1903 r.

— W Petersburgu, jak pisze „Syn Otiecz.", organizuje się „inteligentny artel rolniczy", mający na celu prowadzenie racyonalnego gospodarstwa warzywnego

i mlecznego, jako też rozpowszechnienię śród włościan wiadomości rolniczych.

Koleje i komunikacye. Ministeryum zatwierdziło projekt przewozu ładunków na Daleki Wschód przez Archangielsk, morze Białe, cieśninę Jenisiejską, zatokę Gruby Nos do Krasnojarska rzekami, a dalej koleją lub końmi. Przewóz tą drogą trwać będzie przypuszczalnie 2 miesiące z górą.

— Ministeryum komunikacyi zajęte jest rozpatrzeniem projektów połączenia morza Bałtyckiego z Czarnem. Zamierzono również połączenie Niemna z wodozbiorem dnieprowskim dla ułatwienia wewnętrznej komunikacyi wodnej.

Wybuch bomby. W Siedlcach d. 24 maja rzucono bombę, która poraniła bardzo ciężko policmajstra miejscowego Szedewera. Sprawca zamachu niewykryty.

OFIARY.

Na użytek społeczny J. Z. z Żytomierza rb. 500 do rozporządzenia Aleksandra Świętochowskiego.

Na wpisy dla uczniów chrześcian spadkobiercy Jakóba Teichfelda dla uczczenia pamięci ojca, dziadka i pradziadka rb. 200 do rozporządzenia Aleksandra Świętochowskiego.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 18 Мая 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.